13,000 abonentów!

Nr. 2. Poznań, Niedziela dnia 11-go Stycznia 1903. Rok VII.




*Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie 1,25 m., na poczcie w Austro-Węgrzech 1 kor. 73 hal.*
*Pod opaską: w Niemczech 1,90 mr., w Austro-Węgrzech 2 kor. 30 hal., za Oceanem 1 dol. 25 cent.*
*Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 39.*
*Telefon Nr. 1246.* *Telefon Nr. 1246.*

# Do szeregów!

W obozie wrogów naszych larum grają!

Zwołują się już i sposobią do nowej walki w nowym roku, do jeszcze ostrzejszego natarcia na szańce nasze. Żądają nowych milionów, ostrzą klingi rozmaitych paragrafów, gromadzą kule do dział wszelkiego kalibru, któremi rozbić pragną nasze towarzystwa, ostatnie nasze prawa językowe i obywatelskie, ba, kopią nawet miny pod odwiecznie polskiemi nazwami i nazwiskami naszemi. Aby zaś pomysły ich w ciałach prawodawczych nie doznały większej przeszkody, już dziś krzątają się około *wyborów*, przy których popróbują wydrzeć nam kilka mandatów i jeszcze bardziej zredukować garstkę sejmowych i parlamentarnych obrońców naszych.

Czy pozwolimy na to?

Przenigdy! Dalej więc do szeregów, aby stawić zawczasu czoło srogiej nawałnicy wrogów!

Do szeregów bracia! Skupiajmy się około pism wiernie polskich, bo tym w tej walce przypadnie rola wodzów lub doboszów.

Szeregi nasze, o ile dotychczas przejrzeć je mogliśmy, nie tylko się nie zmniejszyły, *ale nawet znów znacznie powiększyły.* Do weteranów, do starej naszej gwardyi, do pułków liniowych z lat ostatnich nowi przybyli ochotnicy. Dziękując starym za wierność i wytrwałość, witamy nowych całem sercem pod narodowym sztandarem naszym. Hej ramię do ramienia! W zwartych szeregach czekajmy natarcia wrogów!

Ale jeszcze nas nie dosyć, jeszcze spore gromady dzielnych polskich wiarusów błąkają się samopas, bez dowódzców, bez świadomości grożącego im niebezpieczeństwa, bez środków obrony. Na tych w pierwszym rzędzie spadnie falanga wrogów, tych najpierw popróbuje rozbić i zgnębić, bo z takiemi licznemi maroderami— najłatwiejsza sprawa.

Komu więc świętą jest sprawa nasza, kto pragnie zwycięztwa, niech do tych luzem chodzących się zwróci, niech ich zawczasu przestrzega, niech ich powołuje do szeregów. Dawać im „*Pracę*“ do ręki, zachęcać do przedpłaty, wskazywać na ważność skupiania się w jedną potężną armię, pod tak wypróbowanym i dzielnym znakiem. *Wybory za pasem,* a wraz z niemi jeszcze zaciętsza walka. Biada, jeźli wówczas nie wszyscy staną na posterunku!

Jeszcze czas, jeszcze można abonować „Pracę“ na nowy rok i nowy kwartał. Agitujmy tylko wszyscy, odważnie, wytrwale, a wnet o tysiące powiększą się hufce nasze. My dla wszystkich znajdziemy pokarm narodowo duchowy, a im większą będzie siła nasza, tem też skuteczniejszą walka.

Dalej więc bracia! I my zagrajmy larum i łączmy się około „Pracy.“ Pójdzie ona i nadal naprzód, śmiało jak dotychczas, nie cofając się przed żadną ofiarą, wytrwale, ostro a roztropnie; więc chociaż sama niejedną odniesie

ranę, ci, którzy pójdą za nią, pewni być mogą *zwycięztwa*. Naprzód tedy jak największą ławą za święte prawa narodu polskiego!

*Vester.*

# *Życzenie.*

„Zdrowia, szczęścia, pomyślności...“ życzył jeden drugiemu w Nowy rok. Z drobnemi odmianami lub dodatkami powtarzaliśmy te słowa stereotypowo, jak powtarzaliśmy je dawniej przy zmianach roku według utartego zwyczaju.

Przejęliśmy bowiem od poprzedzających generacyi gotowe formy towarzyskie i pewną ilość komunałów, któremi ludzie posługują się jak zdawkowa monetą, więc chór noworocznych powinszowań brzmi zgodnie: zdrowia szczęścia, pomyślności....

Ale gdy zwrócimy się z życzeniami do ogółu, każdy z nas wyjmie z pod serca inne życzenie. „Ile głów — tyle myśli.“ „Milionów na parcelacyę!“ — zawola jeden, „zgnębienia hakaty!“ — wpadnie drugi, „uspołecznienia mas ludu!“ — wtrąci trzeci i poczną sypać się życzenia coraz insze, śmielsze, padać słowa: wojna, sława, wolność.

Czegoż ja najserdeczniej życzę naszemu społeczeństwu w rozpoczętym roku? — pytałem się, gdy wydawca „Pracy“ prosił mnie, bym wypowiedział słów kilka na ten temat. Nie strzelając myślą w świat fantastycznych rojeń, nie budując zamków na lodzie, lecz stanąwszy na gruncie realnym długo snułem pasmo refleksyi, które skrystalizowały się w pragnienie, aby w tym roku wyłonił się z naszego społeczeństwa *wielki polityk*.....

Mamy kilku zdolnych polityków, dobrych mówców i doświadczonych parlamentaryuszów, mimo to wszakże nikt nie utrzymuje, by Koło polskie przedstawiało się imponująco. Ktoś porównał je trafnie do stadła owiec spędzonego w kąt izby.

Pewna ilość zdolnych mężów nie nadaje cechy zdolności całości, okolicznościowa dobra mowa nie wzbudzi szacunku dla całego Koła. Zresztą w wielu razach (np. w sprawie wrzesińskiej i przy zapowiedzianej interpelacyi) trzeba było dopiero parcia ze strony prasy i ogółu, by nakłonić Koło do złożenia interpelacyi u łaski marszałkowskiej. A więc odczuwamy wszyscy ogromny brak jakiejś potężnej iskry w łonie Koła, z niemal wszystkiego wynika, że posłowie nasi, wzięci razem, nie wsłuchują się w tętno społeczeństwa, nie są przejęci wielkością swej misyi, nie dzierżą sztandaru z podniesionem czołem, nie posiadają tej ogromnej, natchnionej determinacyi, która cechuje obóz socyalistów, jest główną tajemnicą ich sukcesów wyborczych i parlamentarnych i wzbudza dla nich powszechny podziw. Nawet pomiędzy samymi członkami Koła i politykami, którzy obracali się w atmosferze parlamentu, panuje niepochlebne wyobrażenie o naszem gronie poselskiem, jak dowodzą dyskusye na temat reformy Koła, dorywcze symptomaty i charakterystyczna „utopia polityczna“ pana I. Kościelskiego.

Brak tam iskry życia i Koło polskie w Berlinie jest *materyałem*, czekającym na *wielkiego, opatrznościowego polityka*, który zszeregowałby, wyszkolił pod swem dowództwem członków na dzielnych bojowników, zagrzał ich przykładem, natchnął swym duchem i poprowadził do boju. Takiego męża, oby nam dała Opatrzność!

Utarło się wszakże przekonanie, że wobec przemożnych hufców krzyżackich nie możemy niczego pozytywnego dokazać w Berlinie. Atoli przykłady z dziejów obcych *przeczą temu stanowczo*, pouczając, że jeden mąż wielki, polityk z krwi i kości z żelazną piersią, tytaniczną wolą i bohaterskim duchem takiego *Parnella* dokonał-by cudów. Wśród przeciętnych osobników napotykamy niekiedy indywidualności tak silnie uwydatnione, że wszyscy zgodnie rozpoznamy, iż natura nie przeznaczyła ich na nic innego jak n. p. na artystów, kupców, adwokatów. Niestety cierpieliśmy zawsze na brak indywidualności politycznych, a pomiędzy tymi, którzy przynieśli z sobą na świat pewne cenne, wybitne cechy polityka, brakowało nam iście genialnej, dominującej głowy, urodzonego wodza ludzkiej rzeszy, przed którym jak przed królem korzyły-by się głowy pseudo-wielkości, padali w proch maluczcy, milkły swary. Brak Kołu polskiemu *króla*, brak takiego Parnella, którego milczenie wymowniejszem było od potoku wymownych słów, który łamał podkowy, zmieniał porządek rzeczy, zmuszał zastępy wrogów do pokory do — ustępstw.

Czy mąż tego pokroju rzeczywiście nie dokazał-by niczego w Berlinie?

**Kto to twierdzi, wątpi w zapładniającą moc ducha, w potęgę geniuszów, nie zna dziejów kultury, nie wie, że wielcy mężowie są pochodniami ludzkości, są misyonarzami, z których jeden oddaje drugiemu spuściznę ideową odświeżoną w krynicy własnego geniuszu, wzbogaconą integralną tegóż cząstką. Historya wielkich ludzi jest historyą ludzkości.**

Nie ulega wątpliwości, że mąż tego pokroju tchnął-by potężną iskrę życia w naszą społeczność, przygasłą i zniżoną, a w Berlinie dokazał cudów. Jakich? — zapyta niejeden. Aby na to odpowiedzieć, wkroczyć musimy w świat fantazyi, dość wszakże, iż jest matematycznym pewnikiem, że wielki człowiek wielkich dokazał-by czynów. Być może zainicyował-by w izbie myśl rewizyi konstytucyi, spowodował zmianę ustawy wyborczej, wprowadził tą drogą socyalnych-demokratów na kark junkrom sejmowym, obudził w społeczeństwie niemieckiem dawny ideał swobody, entuzyazm dla bohaterstwa, odstręczył umysły od hakatyzmu, zdemaskował robotę żydowskich nacyonał liberałów, wykorzenił z łona niemczyzny idee zaszczepiane w niej przez Bismarcka, podniósł znaczenie Polaków, zadał cios polityce krzyżackiej, położył kres uciemiężeniu żywiołu naszego.

A w kraju zdarł-by pleśń wstecznych pojęć pokrywających umysły proletaryatu inteligencyi, położył koniec panowaniu frazesu i obskurantyzmu, obudził drzemiące temperamenty, rozgrzał serca, rozjaśnił pojęcia, użyźnił zbiorowy umysł ogółu ideami współczesnemi, sharmonizował nas kulturalnie z Europą, dalej zelektryzował masy pogrążone jeszcze w ciemnicy, zdobył je dla ruchu narodowościowego..... i t. d.

Czemuż skąpić sobie w życzeniach?

Lecz jakimbądź był-by ów wielki polityk polski — niechaj nam się narodzi! Gotowi jesteśmy na jego przyjęcie; bo wszystko co dotąd zdziałaliśmy u siebie zdaje się być przygotowawczą pracą, sposobieniem terenu dla mistrza.

*Czekamy naszego Mesyasza!*

*Quis.*

## Wystawa wszechsłowiańska
## w Petersburgu.

**Mówi się u nas dużo o wystawie wszechsłowiańskiej, która ma się odbyć nad Newą r. 1904 i po raz pierwszy ujawnić wspólnie wytwórczość ludów słowiańskich na polu przemysłowem oraz**

zobrazować ludoznawstwo. Jednakże sprawa ta pod wielu względami przedstawia się niejasno tak, iż prasa nasza zajęła stanowisko wyczekujące wyjaśnienia ciemnych punktów.

Wiadomo dotąd, że inicyatywa wystawy wyszła z prywatnych kół rosyjskich i kierownictwo pozostanie w ich rękach, aczkolwiek z aprobatą cara patronat nad wystawą objął jeden z wielkich książąt. Komitet peters[illegible] wezwał narody (nie państwa) [illegible] do udziału, z których mniej [illegible] jak np. Słoweńcy umieszczą swe okazy w pawilonach wypożyczonych im przez ministeryum wojny a inne wzniosą własne budowle. Między innemi uproszono grono obywateli z Królestwa Polskiego, by zajęli się uformowaniem komitetu polskiego na Królestwo i, zdaje się, zaprosili do współudziału także Polaków z pod zaborów pruskiego i austryackiego. W dziale polskim będą napisy polskie.

Komitet polski nie utworzył się dotychczas. Osoby, uproszone o sformułowanie tegoż, zajmują się sondowaniem opinii publicznej w tej kwestyi, od wyniku spostrzeżeń swych czyniąc zależnem utworzenie komitetu. Zdania są wielce podzielone, jedni twierdzą, że należy Polakom stanąć w rzędzie ludów słowiańskich, zamanifestować swą łączność, inni zaś dowodzą namiętnie, że należy się uchylić od udziału i świecić ostentacyjnie nieobecnością, by w koncercie Słowian zaznaczyć niechęć do Rosyi. Wobec tego przełomu w opinii podobno utworzenie komitetu polskiego zawisło od opinii u nas i w Galicyi.

Trudno w to wierzyć, aby zdanie nasze miało być poczytanem za decydujące. Chociaż w Królestwie wskutek pognębienia prasy w kleszczach cenzury niełatwo wybadać opinię publiczną, naszem zdaniem wstępny komitet powinien przyjść do nas z gotową decyzyą Polaków z pod zaboru rosyjskiego. Jak my w kwestyi obecnego stosunku narodu polskiego do Niemiec moglibyśmy zaopiniować najlepiej tak stosunek nasz do Rosyi mogą najwłaściwiej określić Polacy z nad Wisły i Bugu. A tymczasem rzeczy się tak przedstawiają jakby Polacy z za kordonu pytali się o radę.

Wychodząc z naszego lokalnego punktu widzenia możemy powziąść postanowienie, będące w sprzeczności z opinią Królestwa, które jako najwięcej interesowane powinno dać nam dyrektywę, a my, mając na względzie interes Królestwa, *winniśmy do niej się zastosować.* Jeżeli Królestwo zadecyduje, żeby uchylić się od udziału a my, będziemy głosować za współudziałem, powinniśmy ustąpić — notabene jeźli głos opinii w Królestwie i racya tejże będą przekonywające.

Dla Warszawy współudział w wystawie jest kwestyą ekonomiczną, pewne koła życzą sobie wystąpić na niej i nie ulega wątpliwości, że bardzo wielu przemysłowców wyśle swe fabrykaty na wystawę. *Dla nas jest to kwestya li tylko dyplomatyczna*, bo nie mamy czem się popisywać w Petersburgu i co bądź się mówi o ożywczym na handel wpływie kolei sybiryjskiej, w Rosyi nie ma dla nas rynków zbytu dla naszej wytwórczości.

Zanim wypowiemy nasze zdanie w tej materyi, pragniemy dać sposobność naszym czytelnikom do wszechstronnego rozwikłania tej kwestyi i dla tego dajemy głos jednemu z naszych współpracowników, dobrze poinformowanemu członkowi *Towarzystwa Przemysłowego*, który w myśl decyzyi zapadłej w temże Towarzystwie głosuje *przeciwko* udziałowi Polaków w wystawie. Na wywody naszego współpracownika odpowiemy w następnym numerze tak, iż sprawa — tak jak dziś się przedstawia — zarysuje się przed nami w całej rozciągałości. Dziś jedynie zaznaczamy, że przyśliśmy w naszych rozumowaniach do *odmiennego* rezultatu.

*Ordon.*

*Poznań*, dnia 31. grudnia 1902.

W sprawie wystawy wszechsłowiańskiej zajęło jedno z naszych najpoważniejszych Towarzystw, „Towarzystwo Przemysłowe“ (Stary Przemysł) wyraźne stanowisko, ogłaszając rezolucyą tego brzmienia: „Towarzystwo Przemysłowe w Poznaniu po odpowiedniem roztrząśnięciu sprawy „petersburskiej wystawy wszechsłowiańskiej“, mającej się odbyć w r. 1904, uchwaliło: *nie brać udziału w niej, ani do niej rodaków zachęcać.*“

Nie przesądzając znaczenia powyższej rezolucyi pragnę zaznaczyć me stanowisko i przy tej sposobności rozwinąć moje zapatrywania na całość kwestyi niewątpliwie ważnej i aktualnej. Co do rezolucyi samej zaznaczam, że godząc się na zasadę w niej zawartą, nie mogę się oświadczyć za formą. Towarzystwo Przemysłowe powinno było mem zdaniem oświadczyć tylko, że postanowiło nie brać udziału w wystawie a skreślić dodatek: „ani do niej rodaków zachęcać,“ gdyż jest zbytecznym, nawet psującym wrażenie całej rezolucyi. W dodatku tym tkwi coś, co zakrawa *na agitacyą przeciwko Rosyi.* My na tem stanowisku stawać nie powinniśmy, ponieważ bądź co bądź mimo naszych porachunków z Rosyą i różnic nas dzielących, uznajemy w Rosyaninie współplemieńca — a w państwie rosyjskiem hegemona słowiańszczyzny. Może się to nam mniej podobać — faktycznie jednak tak jest.

Zgadzamy się zatem na wstrzymanie się od udziału we wszechsłowiańskiej wystawie, lecz z tej abstynencyi wyjąć należy wszelkie *ostrza agitacyjne.* I w tem jest różnica pomiędzy mem zapatrywaniem a poglądami tak zwanego obozu wszechpolskiego, dążącego w istocie rzeczy *do wojny na dwa fronty.*

Najgłówniejsze argumenta zwolenników wystawy dają się streścić jak następuje: 1) Budząca się idea łączności całej słowiańszczyzny każe nam po prostu iść do Petersburga bez względu na nasze wyjątkowe stosunki narodowe. Gdybyśmy bowiem nie poszli, cała rodzina słowiańska mogłaby powiedzieć, że my jedni tej łączności nie pragniemy.

2) Wystawa jest dalszym krokiem do zbliżenia się ludów słowiańskich.

3) Nieobecnych zawsze źle sądzą.

4) Wstrzymanie się od wystawy mogłoby źle wpłynąć na stosunki naszych spółbraci w zaborze rosyjskim.

Na powyższe argumenty odpowiadamy:

Cała rodzina słowiańska wie, że nigdzie się nie wyłączamy od spólności słowiańskiej, gdzie tylko na to pozwalają nasze odrębne i wyjątkowe stosunki narodowe. Bierzemy udział we wszystkich zjazdach, kongresach, zebraniach słowiańskich na gruncie, że tak powiemy neutralnym. Cała rodzina słowiańska zatem wiedzieć musi, że mamy gorące uczucia dla niej i nigdy ich się nie wyrzeczemy. Nasze wstrzymanie się zatem od wystawy da poznać ludom słowiańskim, że jest coś pomiędzy nami i Rosyą, co nam nie pozwala iść do Petersburga.

Ponieważ rodzina słowiańska wie, że bierzemy udział czy to jako naród w całości, czy to jako poszczególny zabór we wszystkiem, co może dopomódz do wzmocnienia budzącej się łączności słowiańskiej, a wyłączamy się od wystawy w Petersburgu, więc, chociaż by nas początkowo o złe chęci pomawiano, rodzina słowiańska musi zbadać przyczyny naszej abstynencyi i poddać rewizyi nasz stosunek do Rosyi. *Rewizya ta musi wypaść na naszą korzyść, rodzina słowiańska skutkiem tej rewizyi musi rozeznać, że nie po naszej stronie, lecz po stronie drugiej jest wina, iż nasze wyjątkowe położenie wobec Rosyi się nie zmieniło.*

Obawy zatem, aby nas źle sądzono, aby nas posądzono, że my jesteśmy przeszkodą na drodze ku wzmocnieniu łączności słowiańskiej, są płonne.

Dalej proste wstrzymanie się nasze od wystawy bez domieszki tendencyjnej antyrosyjskiej da Rosyi poznać, że my

Rosyą uważamy za siostrzycę, że w myśl idei łączności ludów słowiańskich nic przeciw niej nie mamy, lecz jesteśmy w wyjątkowem wobec niej położeniu.

Rosya właśnie przez wstrzymanie się nasze od wystawy rozezna, że o łączności w myśl idei słowiańskiej myśleć nie można dopóty, dopóki nie usunie się naszego wyjątkowego położenia, czyli dopóki stosunek naszych spółbraci w zaborze rosyjskim nie będzie na gruncie prawnym jasno postawionym i określonym i dopóki nie będzie zagwarantowanem z najzupełniejszą pewnością, że *myśl polska* znajdzie najzupełniejsze poszanowanie. *Kroki ku temu może tylko poczynić Rosya, nie nasi bracia z pod zaboru rosyjskiego, bo nie oni, lecz Rosya ma na to w ręku dane.*

***Przeciwnie udział innych zaborów w wystawie oznaczałby dla Rosyi dużo, bardzo dużo, oznaczałby dla Rosyi, że inne zabory uznają stosunek naszych spółbraci do Rosyi za normalny i za niewymagający gruntownej i najzupełniejszej reformy.***

Z powyższego wynika, że wstrzymanie się innych zaborów Polski od wystawy nie może absolutnie źle wpłynąć na stosunki naszych rodaków w zaborze rosyjskim. Jeźliby bowiem Rosya chciała się mścić na naszych rodakach za wstrzymanie się innych zaborów od wystawy, zaszkodziłaby sobie niezmiernie, nieobliczalnie.

*Takie postępowanie mogłoby jedynie osłabić jej rosnący kredyt wśród rodziny słowiańskiej,*

Powtarzamy raz jeszcze: wstrzymanie się od wystawy może jedynie Rosyą pobudzić do refleksyi i zastanowienia — a na tem nikt jeszcze źle nie wyszedł. *Pomimo więc naszych sympatyi słowiańskich stajemy na stanowisku, odmowy, wyraźnie umotywowanej.*

*S.*

## Ministeryum dla Księstwa!

Już to Prusacy naprawdę bardzo nam „nieżyczliwi.“ Nie życzą nam nawet weselszego rozpoczęcia nowego roku....

W samo Boże Narodzenie niemal rozeszła się wieść, że dla W. Księstwa Poznańskiego i Prus Zachodnich ma być utworzone *osobne ministerstwo jako zwierzchnia władza dla wszystkich władz i urzędów w obu tych dzielnicach.* Okazało się podobno bowiem, że wszystkie dotychczasowe środki i zarządzenia antipolskie nic nie warte, że nie funkcyonują należycie, nie spełniają swego zadania, a nie spełniają go z tej przyczyny, ponieważ resortowi ministrowie pruscy, zajęci sprawami całej monarchii, nie mają dość czasu, aby baczniej czuwać nad tem, co się u nas dzieje i co się przeciwko nam działa. „Ultra posse nemo obligatur“ — od nikogo nie można przecie żądać więcej, niż zdolen zrobić; zatem ma być utworzone nowe ministerstwo *już wyłącznie* tylko przeznaczone dla rzeczonych dwóch dzielnic polskich.

Po co tu i na co obwijać prawdę w bawełnę? Powiemy więc otwarcie, że żadna chyba zapowiedź nowych zarządzeń pruskich nie wywołała u nas, w zaborze pruskim takiego zadowolenia, takiej wesołości, jak właśnie ta. Raz przynajmniej, mówiono sobie, rząd pruski zamierza nam wyświadczyć *prawdziwe dobrodziejstwo.* To też cieszono się szczerze i w „Sylwestra“ rzetelnie „oblewano“ tę pomyślną wiadomość. A tu nazajutrz zjawia się *zaprzeczenie urzędowe:* „Nic z tego, ani nam się śni ustanawiać takiego ministerstwa, to była tylko zwykła kaczka dziennikarska!“ A więc nic znowu! I jakże tu uwierzyć w życzliwość i dobrą wolę rządu pruskiego? Już to niemamy szczęścia do Prusaków....

Aby nas zaś nie posądzali o ironią, zaraz wykażemy i wyjaśnimy, dlaczego ta wiadomość taką satysfakcyą u nas wywołała.

Brzmiała ona na pozór groźnie, boć nowe ministerstwo miało powstać dlatego, aby jeszcze intenzywniej uprawiać germanizacyą polskich dzielnic. Lecz to tylko *pozór* był taki groźny. Strachy na lachy — mospanie — nic więcej! Choćby i *stu* ministrów pruskich czuwało nad środkami germanizacyjnemi, wysilało mózgi, wzrok, słuch, a nawet... powonienie, dopóki nas co do jednego nie wystrzelają, nie wywieszają, nie wytopią lub w inny jaki równie „humanitarny“ sposób nie wyekspedyują na drugi świat, nam nic stać się nie może. Żadne inne bowiem środki, środeczki, pomysły i podstępy germanizacyjne nie dopną celu, dopóki Bóg nad nami i z nami, dopóki u nas wiara w sercu, pewność siebie, ochota do pracy i chęć do życia. Tych zaś sił i zalet jeszcze nam nie braknie i pewnie nigdy nie zabraknie. Przetrzymaliśmy już stuletnie piekło, a przetrzymaliśmy je zwycięzko, choć z początku byliśmy słabi, to przetrzymamy więcej jeszcze. Nie nas więc straszyć nowemi ministrami z takim celem. Nam też bynajmniej nic na strach się zbierało, lecz na *wesołość.* Wieść owa zapowiadała nam przecie *spełnienie najgorętszego życzenia naszego....*

Nie z fantazyi tylko protestowali posłowie nasi czasu swego przeciwko zupełnemu zlaniu W. Ks. Poznańskiego z resztą monarchii pruskiej, a następnie przeciwko włączeniu tej dzielnicy do Rzeszy niemieckiej — lecz w myśl życzeń całego polskiego ogółu i na podstawie prawa, zagwarantowanego nam na kongresie wiedeńskim. Według traktatów kongresu tego Księstwo miało tworzyć *ustrój odrębny,* miało zachować pewną łączność z resztą ojczyzny naszej. Do tej łączności mamy także zupełne *naturalne* prawo; gdy więc odebrano je nam, gdy włączono nas siłą do obcego nam organizmu państwowego, była to dla nas *krzywda,* którą zapomnieć i przeboleć nigdy nie mogliśmy i nigdy nie zdołamy. My i dziś jeszcze chcemy i żądamy, aby nam powrócono to, co nam przyznał *kongres wiedeński,* co nam przyrzekli uroczyście królowie pruscy. Powiedziano nam wprawdzie, że te przyrzeczenia dziś nie warte ani złamanego szeląga, my atoli inaczej się na to zapatrywaliśmy.

I dziwić się tu, że gdy zjawiła się wieść, że temu żądaniu naszemu *w części* przynajmniej stanie się zadość, że nietylko Poznańskie ale i Prusy Zachodnie rząd zamierza traktować jako coś *odrębnego,* z osobnem ministerstwem na czele, — radość i nadzieja wstąpiły w serca nasze. Niechże to ministerstwo będzie, jakiem chce, niech ma wrogie dla nas cele — bądź jak bądź będzie *ponownem uroczystem uznaniem narodowej i prawnopaństwowej odrębności naszej.*

Nie brakło i takich, którzy już na wieść tę oddawali się złotym marzeniom. Na czele takiego ministerstwa — myśleli sobie — nie może przecież stać jaki Müller lub Lehman, bo by to źle licowało z jego charakterem, lecz stanie zapewne jaki mąż pruski z *polskiem* nazwiskiem i ongi polskiego pochodzenia, jaki *Radoliński, Posadowski, Podbielski, Wilanowski* — lub i jak się tam nazywają.

Wiadomo zaś, że polskość ma wielką siłę atrakcyjną. Nawet wielki książe Konstanty, piastując przez dłuższy czas godność namiestnika cesarskiego w Królestwie, niemal że się nie spolszczył i pokochał Polaków, wprawdzie po swojemu, trochę po azyatycku, ale bądź jak bądź *pokochał.* Nuż tedy i tych ministrów dla polskich dzielnic tak omota i ogarnie nasz lud polski! Dopóki będą *pruskimi* ministrami, *pruskimi* naczelnymi prezesami, spodziewać się tego nie można. Skoro atoli staną na czele *polskiego* ministerstwa,

a że polskiem nazwie je opinia, to rzecz pewna — droga dla nich do odpolszczenia otwarta. I tak powoli dojdziemy do... polskich *ministrów rodaków*.....

Już sam fakt, że mieliśmy otrzymać nareszcie *polskie* ministerstwo w Prusach, starczy na usprawiedliwienie naszej radości. W kąt poszłyby od razu wszelkie „Ostmarki," „Weichsel- i „Wartegauy," „Netzdistriety" itp. nazwy, a znów powstaną „*polnische Prowinzen*." I jakże tu nie radować się z takiej zapowiedzi.

Niestety zawiodła nas znowu! Rząd podobno nie ma ochoty do takiej restytucyi naszej odrębności. Jaka szkoda!

Lecz pono nie wszystko jeszcze stracone. Kilka pism twierdzi bowiem, że zaprzeczono tej wieści dlatego tylko, ponieważ wyjawiła myśl rządu za *rychło*. Kto wie, może rząd pruski czeka tylko na to, aby i *Górny Śląsk* na dobre się odrodził i przez wysłanie do Berlina *polskich* posłów dał dowód *swej polskości*. Gdy to nastąpi, wówczas dopiero rząd ustanowi owe „*ministerstwo polskie*" już dla *całego zaboru* od razu... Przez to da dowód, że i Śląsk należy „zu den polnischen Prowinzen", czemu hakata przeczy z taką zaciętością.

Chociaż nam rząd pruski popsuł radość, może nie wszystko jeszcze stracone. Gdyby jednakże wieść owa rzeczywiście nie miała się spełnić, to wielka byłaby dla nas szkoda.

*Narodowiec.*

# Wartość wszechniemców.

W niemieckiem mieście *Brüx* w Czechach, które dawniej zwało się Mostami i tak znów zapewne w przyszłości nazywać się będzie, jeźli pobratymcy nasi Czesi dalej tak zwycięzko, jak dotychczas kroczyć będą naprzód ku odzyskaniu tego, co stracili — toczył się w grudniu proces tak brzydki, że wstręt bierze pisać o nim, z drugiej atoli strony tak znamienny, iż nie można go zbyć milczeniem. Odsłonił nam on bowiem całą wartość moralną tych Niemców, którzy stoją dziś na czele walki przeciwko Słowianom, w cesarstwie austryackiem, a których i Niemcy w Rzeszy do niedawna uważali za bohaterów narodowych.

Czytelnicy nasi przypominają sobie zapewne jeszcze owe pogłoski, jakie pojawiły się przed pół rokiem mniejwięcej o jednym z wodzów „wszechniemców" austryackich, *Karólu Hermanie Wolfie*, tym samym Wolfie, który tak ważną odegrał rolę w walce Niemców austryackich przeciwko gabinetowi hr. *Badeniego*. Zarzucały one Wolfowi najniegodziwsze zbrodnie i niemoralne występki. A najciekawszem było to, że nie wychodziły od naturalnych jego wrogów, Słowian, lecz z kół jego przyjaciół i towarzyszów politycznych, z kół *wszechniemieckich*. Gdy już dobrze przeżute zostały przez prasę, ukazała się nawet broszura, wydana przez kolegę Wolfa z klubu wszechniemieckiego, niejakiego *Schalka*, która nietylko podtrzymywała wszelkie poprzednie zarzuty, ale dodała do nich cały szereg nowych. Sądząc o niej, trzeba było uważać Wolfa za prawdziwego potwora. Nietylko bowiem, jak twierdził Schalk — uwiódł córkę swego przyjaciela frakcyjnego a żonę drugiego przyjaciela, ale odgrywając rolę bohatera niemieckiego, mimo że był żonatym — uczynił to samo z inną dziewicą germańską, i to podczas uczty na jego cześć wydanej! Dalej oszukiwał ludzi, nie dotrzymywał danego słowa, brał łapówki nawet od wrogów, a nawet zamierzał zaprzedać pismo swoje Rosyi....

Wolf na tę broszurę odpowiedział w piśmie swojem, że wszystkie w niej zawarte oskarzenia są kłamstwem, albo też zawierają sporo przesady. Równocześnie odsłonił nam dużo machinacyi zakulisowych, jakie działy się w stronnictwie wszechniemieckiem. Twierdził, że cała ta kampania, podjęta przeciwko niemu, jest dziełem głównego przywódzcy Wszechniemców w Austryi, znanego *Schönerera*. On, Wolff, nie chciał niewolniczo słuchać rozkazów tego kacyka, który dobro własne zawsze przekłada na dobro Niemców, więc postanowiono go wykluczyć z partyi i moralnie uśmiercić. Równocześnie Wolf złożył swój mandat, a wybrany ponownie przez Niemców posłem, zaskarżył owego Schalka o obrazę. I proces o to toczył się teraz w *Mostach*.

Rezultat procesu był taki: Schalk nie zdołał Wolfowi udowodnić wszystkich zarzucanych mu zbrodni, więc za obrazę Wolfa skazany został na 800 koron grzywny. Wolf wyszedł więc z procesu niby jako zwycięzca, ale zwycięzca taki, że żaden porządny człowiek nie powinien mu ręki podać. To, co bowiem wyszło o nim na jaw, wystarcza, ażeby go i nadal uważać za człowieka o bardzo słabem poczuciu moralnem.

Ale nie dosyć na tem. Dowiedzieliśmy się przytem, jacy to ludzie stoją na czele, zarówno ruchu wszechniemieckiego w Austryi jak i osławionego ruchu „los von Rom." Także bowiem przeciwnicy Wolfa zaprezentowali nam się w całej swej niemoralnej nagości. Jest to klika, która dla własnego zysku frymarczy hasłami narodowemi, której chodzi jedynie o własną kieszeń i własne znaczenie, która i między sobą bezustannie odgryza się od żłobu korzyści, jakie daje im walka o rzekome interesy niemczyzny w Austryi. Zasługują oni wszyscy w czambul jedynie na miano *opryszków politycznych*, dla których niema nic świętego, prócz własnego interesu. Aby w danym razie pozbyć się konkurentów, śledzą się wzajemnie — za pomocą tajnych detektywów, każdy gotów jest codziennie zdradzić i zniesławić drugiego, byle tylko sam mógł się wynieść a chociażby tylko utrzymać przy mandacie poselskim.

I takim to ludziom Niemcy austryaccy powierzają swe losy, i takich Niemcy w Rzeszy uważają za idealnych przedstawicieli idei niemieckich! Spodziewać się należało, że po tem wyjaśnieniu ich moralnej wartości, rodacy odwrócą się od nich, kopną ich nogą. Gdzież tam! Otóż Wolfa uważają za zrehabilitowanego i znów obdarzają go pełnem zaufaniem. A i reszta nie straciła nic na swej reputacyi. Schalk zatrzymuje nadal mandat poselski, a Wolf tworzy nową — partyą. Z powodu „zwycięztwa jego w procesie," wyprawiono mu huczne owacye!!

Co prawda, przyjdzie teraz do zaciętej walki między nim a *Schönererem* i jego partyą — ale czy jeden lub drugi zwycięży — to dla nas zupełnie obojętne. Wart Pac pałaca a pałac Paca. Dla nas ważnem jest tylko to, że poznaliśmy teraz dokładnie moralną wartość już nietylko przywódzców, ale całego owego ruchu wszechniemieckiego, który najzawzięciej zwalcza Słowian, a najbardziej wśród nich Polaków.

Walka z tym ruchem może być dla nas przykrą i wstrętną, ale szkody nam wyrządzić nie zdoła. Ten prąd niemiecki w niegodziwości swej sam się strawić musi — a wówczas nadejdzie tryumf dobrego nad złem.

My dziś tylko dziękować możemy Bogu, że odsłonił przed światem wartość moralną tych nieubłaganych wrogów naszych, a dalej, że nas ochrania od zarazy, jaka coraz bardziej zaczyna toczyć ciało narodu niemieckiego. To dla nas najlepsza rękojmia ostatecznego naszego zwycięztwa.

*Galicyanin.*

## Z TYGODNIA.

Zainteresowanie szerszych kół, które skupiało się w przeszłym tygodniu wyłącznie niemal około *skandali dworskich* sasko-toskańskich i około sprawy *Humbertów*, zwróciło się znów w ubiegłym tygodniu do spraw bardziej politycznych. I słusznie! Okazało się bowiem, że ta kobieta, którą w pierwszej chwili uważano za ofiarę etykiety dworskiej — bynajmniej taką ofiarą nie jest, że nawet nie zasługuje na najmniejsze współczucie. Księżna *Luiza* nie opuściła męża i dzieci z poważnych jakich przyczyn etyczno sercowych, lecz wyłącznie dla dogodzenia namiętności zmysłowej. Dla katolików nie mała zaś w tem satysfakcya, że księżna już się nie czuła katoliczką, że nawet wstręt miała do praktyk religijnych. Przewróciło jej w głowie i zdeprawowało serce czytanie „filozoficznych“ dzieł Niemca *Nitschego*, tego, który to wynalazł pojęcie „nadczłowieczeństwa“ i w swej filozofii rozgrzesza każdego z wszelkich zbrodni i nieprawości, kto ma *siłę*, aby mógł się ich dopuścić. Na tej filozofii opiera się dziś całe życie umysłowe Niemców, ba nawet ich *polityka*. No, pokazało się znów, do czego filozofia ta prowadzi. A właśnie fakt, że owoce jej dotknęły dwór *niemiecki*, zakrawa na ironię losu. Księżna Luiza powiedziała sobie: czuję się także *nadczłowiekiem*, drwię z wiary, moralności i związków rodzinnych — więc porzuciła męża i dzieci i uciekła z młodym Francuzem. A jak wstrętną jest w tem swojem „nadczłowieczeństwie,“ to wykazują liczne interwiewy z dziennikarzami. Kobieta, która się *chlubi* tem, że dziecko, jakie nosi w swem łonie, jest owocem grzesznej miłości, o już chyba potwór, nie kobieta. I dobrze się stało, że sama usunęła się z wyżyn tronu.

I braciszek jej *były* arcyksiążę *Leopold*, nie prezentuje nam się w lepszem świetle. To też rychło świat przestał się interesować tą parą — przekonawszy się, że nie zasługuje na to.

Ze spraw bieżących politycznych wyjmiemy dziś znów nasamprzód sprawę *wenezuelską*. Kończy się ona pokojowo. Pod naciskiem opinii publicznej w Ameryce północnej i Anglii oraz rządu Stanów zjednoczonych, ugodziły się obie strony — Wenezuela oraz Niemcy i rząd angielski na poddanie sporu pod sąd *trybunału międzynarodowego w Hadze*, utworzonego, jak wiadomo dla zatargów międzynarodowych z inicyatywy cara *Mikołaja*. Jaki ten trybunał wyda wyrok — nikt dziś jeszcze przewidzieć nie może, dość, że obejdzie się przynajmniej bez krwi rozlewu. To jedno zdaje się być już pewnem, że Niemcy bardzo źle wyjdą na tej awanturze wenezuelskiej. Nietylko, że straciły do reszty zaufanie i sympatyą u wszystkich ludów amerykańskich, że tam coraz częściej a także w innych krajach, nietylko w Wenezueli rozlega się okrzyk: „precz z Niemcami, precz z towarami niemieckiemi,“ ale i w Anglii zdyskredytowali się bardzo. Nawet słynny poeta angielski, *Rudyard Kipling* napisał wiersz, w którym gromy rzuca na chwilowy ten sojusz Anglii z Niemcami. Wiersz ten dotknął Niemców tem boleśniej, ponieważ niedawno temu cesarz Wilhelm odznaczył bardzo tegoż poetę telegraficznem zapytaniem się o jego zdrowie.

I pod innym jeszcze względem popsuły się Niemcom szyki. Uchwalając nową taryfę celną, wymierzoną głównie przeciwko *Rosyi i Austryi*, byli pewni, że mianowicie z Austryą będą mieli łatwą sprawę. W państwie tem wrzał bowiem zacięty spór między obu jej połowami, między częścią austryacką a węgierską, o wspólność handlowo-polityczną i o nową wspólną taryfę, a nie było widoków, ażeby spór ten rychło mógł być załatwiony. A bez takiej wspólności i wspólnej taryfy Austrya i Węgry zdane były wprost *na łaskę* Niemiec. Tymczasem stała się rzecz niespodziewana. Po długich układach, w samą wilią Nowego Roku, dzięki pośrednictwu cesarza *Franciszka Józefa* nastąpiła zgoda między obu częściami jego monarchii. Oba rządy zawarły w Wiedniu ugodę, której owocem jest nowa wspól*na austro węgierska taryfa celna*. A taryfa ta zawiera podobno cła bardzo niebezpieczne dla *przemysłu* w Rzeszy niemieckiej. Na podstawie tej taryfy Austro-Węgry mogą rozwiać częściowo wielkie nadzieje, przywięzywane w Niemczech do nowej *niemieckiej taryfy*.

Na domiar złego dla Niemiec utrzymują się upornie wieści, że *rosyjski* minister spraw zagranicznych, hr. *Lamsdorff*, który wracając z Bułgaryi i Serbii zatrzymał się przez kilka dni w *Wiedniu* — naradzał się z rządem austro-węgierskim nietylko o sprawie *macedońskiej*, lecz także co do ewentualnej *wspólnej* akcyi rosyjsko-austryackiej przeciwko Niemcom, mianowicie zaś co do sytuacyi, wytworzonej przez nową taryfę niemiecką. A chociaż o tych naradach, jak również o tem, co tam uchwalono w sprawie macedońskiej, najmniejszy szczegół nie przedostał się do publicznej wiadomości, — w Niemczech bardzo przykre powstało usposobienie. I nagle pojawia się wieść, że w połowie tego miesiąca uda się do Petersburga niemiecki książę następca tronu. Pisma półurzędowe niemieckie starają się przytem przedstawić podróż tę tak, jak gdyby dowodziła, że w Berlinie wiedzą dobrze, o czem w Wiedniu radzono, i że się tu godzą na wszystko, co tam postanowiono, ale prasa niezależna bynajmniej temu nie daje wiary — przypisując podróży księcia cel *inny*. Niemcy obawiają się dziś już na dobre skutków polityki celnej hr. Bülowa i nie bez racyi. Nuż bowiem *Rosya i Austrya* podałyby sobie ręce przeciwko tej polityce Niemcom groziłaby straszna wprost *katastrofa* ekonomiczna.

Niespodziewanie zupełnie zawisła nad *Europą*, mianowicie *południową* nowa poważna kwestya — kwestya *marokańska*. Sułtan wielkiego tego lecz na pół dzikiego jeszcze państwa afrykańskiego, zbliżonego ze wszystkich części Afryki najbardziej do Europy, *Alulaj-Abdul-Aziz* — zasmakował w kulturze europejskiej, zaprowadzał reformy, jeździł na kołowcu, fotografował, a na końcu sprowadził sobie nawet automobil czyli samochód, Wehikuł ten niemal nie pozbawił go życia. Drogi marokańskie nie są jeszcze w takim stanie, aby można po nich jeździć samochodami. Zaraz też przy pierwszej wycieczce maszyna stoczyła się do rowu, sułtan wypadł i ciężko się potłukł. Wypadek ten nie zraził go wprawdzie do wynalazków europejskich, ale do reszty pozbawił czci i powagi u fanatycznej ludności muzułmańskiej kraju.

Ludność ta od dawna już spoglądała z trwogą i oburzeniem na nowatorstwa swego władzcy, teraz zaś zerwała się niemal cała przeciwko niemu. Na czele buntowników stanął jakiś były żołnierz, przybrawszy nazwę Buhamary, który pobił na głowę wojsko sułtana i zagraża mu nawet w jego stolicy *Fezie*. Zamieszkali w Maroku Europejczycy zbiegli na wybrzeże. Przewrót w tem państwie wyrządza jednakże takie szkody interesom europejskim, mianowicie *Anglii, Francyi i Hiszpanii*, po części zaś także *Włochom*, że spokojnie nie mogą patrzeć na upadek sułtana. Wszystkie te pań-

stwa wysłały więc okręty na wybrzeża marokańskie, a obecnie toczą rokowania co do wspólnej akcyi w tym kraju. Cóż, kiedy akcyi tej znów stoją na zawadzie zazdrość i wzajemna podejrzliwość tych mocarstw. Każde z nich posądza drugie o to, że pragnie zagarnąć wszystko. Z tej zazdrości i podejrzliwości może się też wyłonić rzeczywiście poważna dla całej Europy kwestya.

Wracając z tej „wycieczki afrykańskiej“ do *Niemiec,* zaznaczyć winniśmy, że *sejm pruski* zwołany został na 13-go b. m., że więc rozpocznie obrady równocześnie z parlamentem. Co tam nowego przyniesie nam pruska *mowa od tronu,* nie wiadomo jeszcze. Bądźmy przygotowani na rzeczy najgorsze, wówczas nie zaniepokoimy się niczem. Po zatem upamiętnił się ten tydzień w życiu Niemiec dalszą walką stronniczą, mylną zapowiedzią, że posłowie do parlamentu mają pobierać dyety no i kilku nowemi *defraudacyami.* Niemamy więc co zazdrościć Niemcom. Róbmy swoje, a damy sobie z nimi radę!

Nagłą śmiercią zmarł w Madrycie *wielki hiszpański mąż stanu* Praxedes Mateo *Sagasta,* urodzony w r. 1827, który jako przewódzca liberałów od r. 1870 kilkakrotnie dzierzył ster rządu, współzawodnicząc z konserwatystą Canovas del Castillo, zamordowanym przez anarchistę. Imie Sagasty jest związane z historyą Hiszpanii z ostatnich lat 30 i kilku, lecz wina z nieszczęsną wojną z St. Zjednoczonymi i utratą kolonii nie spada na niego. Pod jego rządami ustanowiono sądy przysięgłych, śluby cywilne, powszechną służbę wojskową i rozciągnięto prawo głosowania na wszystkie stany. Te dzieła i nieskazitelny patryotyzm uwiecznią pamięć Sagasty w Hiszpanii.

*Sejm galicyjski* zwołany został w ostatnich dniach starego roku na 2-dniową sesyą w celu załatwienia prowizoryum budżetowego i spraw najpilniejszych. Jakkolwiek posłowie pracowali z podziwu godną pilnością, załatwiono jedynie kilka przedłożeń, mianowicie dotyczące podatku od piwa i uwolnienia domów dla robotników od podatku krajowego oraz przyjęto rezolucye w sprawie upaństwowienia kolei północnej, wspierania przemysłu naftowego i w sprawie cukrownictwa. Ta ostatnia ma szczególne znaczenie dla Galicyi, gdyż zarówno konwencya brukselska jak i wywołana nią nowa ustawa austryacka dla cukrownictwa grożą ruiną cukrowniom galicyjskim. Dużo czasu zapełnia także dyskusya o strejkach rolnych w wschodniej Galicyi, w której jednakże nic nowego nie powiedziano. W kraju panuje wielkie rozgoryczenie, że rząd zwołuje sejm zimą tylko na tak krótki czas. Tyle spraw czeka załatwienia, a tu ani najważniejszych jako tako omówić nie można. Nie zmieni się to atoli, dopóki Koło polskie nie zajmie bardziej stanowczej postawy wobec rządu, niż to dzieje się dotychczas.

*K. O.*



## Przegląd prasy.

Pomyślnym objawem, świadczącym o wzrastającej dojrzałości politycznej, jest *ruch wyborczy,* który się u nas wszczyna. Jak wiadomo z gazet codziennych zapowiedziano kilka wieców: w Łabiszynie, Zbąszyniu itd. Dawniej zabieraliśmy się do dzieła dopiero sześć tygodni przed wyborami, dzisiaj świadomi celów naszych bierzemy się wcześnie do dzieła. Dobry przykład dał powiat międzyrzecki.

*„Dzien. Pozn.“* stoi na stanowisku konserwatywnem i nie uznaje potrzeby wprowadzenia nowych sił do Koła polskiego. Jednakże nie może zaprzeczyć, że pewne zmiany są pożądane i pisze z przekąsem:

> „Owszem! są nowe siły nam bardzo pożądane, byle były rzeczywiście lepsze od starych, wypróbowanych, przeciwko którym prowadzi się cichą agitacyą, bądź żeby je zniechęcić, bądź żeby je usunąć. Zniechęconych, zdaje się, jest już poddostatkiem tak, że miejsc dla nowych ambicyi nie zabraknie.“

*„Dzien. Pozn.“* jako organ kół ziemiańskich radzi, by wyborcy stawiali kandydatom pytania

> „1) czy będą popierali interesa i potrzeby rolnictwa wogóle (to znaczy czy są za cłami,)
>
> 2) czy stoją na gruncie absolutnej solidarności.“

Jak zaznaczyliśmy w ostatnim numerze nie poczytujemy kwestyi ceł za odpowiadającą „wymaganiom chwili“. Wszyscy stoimy przy „piastowskiem rolnictwie“ i wszyscy przy „barwach narodowych“, więc o tem nie ma co mówić. Nie chcielibyśmy zaś, by cło było punktem spornym; są sprawy żywotniejsze, o które powinno się rozchodzić.

Że wiece przedwyborcze nie przyszły za wcześnie okazuje się z smutnych *wyborów do sejmu prowincyalnego w Kargowie,* gdzie z 14 *polskich* wyborców *głosowało 9 na Niemca.* Oświaty zatem potrzeba jeszcze ludowi i nauki o ważności wyborów. *Wielkopolanin* podając ten fakt do wiadomości, pisze między innemi:

> „Nie chce się po prostu wierzyć, aby w dzisiejszych czasach, kiedy język ojczysty usunięto ze szkoły, kiedy komisyi kolonizacyjnej nowe dano miliony na wykupno ziemi polskiej, kiedy ta komisya zaczyna już wykupywać chłopów polskich na to, *żeby wyłącznie osadzać Niemców, aby w takich czasach mógł się znaleźć chłop polski, któryby głosował na Niemca.*“

A nie jest to odosobniony wypadek! Tak jak wyborcy w Kargowie zachowało się swego czasu kilku polskich wyborców w Wielowsi w pow. mogileńskim.

Sensacyjna plotka puszczona w obieg z Berlina o *ministerstwie dla spraw polskich* na Księstwo i Prusy Zachodnie pokutuje w prasie. O autorstwo tej wiadomości posądzają pana *Wittinga,* który „może ma ochotę powrócić do nas jako minister dla kresów wschodnich.“ *„Dzien. Pozn.“* uważa wiadomość tę za kaczkę dziennikarską. Tymczasem w *„Orędowniku“* czytamy:

> „Drugą wiadomość o ministerstwie dla kresów wschodnich podaje „N. Pol. Coresp.“ Według niej ustanowienie takiego ministerstwa, *mimo wszelkich zaprzeczeń było przedmiotem poważnych rozwag. Sprawę tę odroczono wprawdzie, ale prędzej czy później powróci ona na pewno.* W polityce polskiej wybór osób jest rzeczą najważniejszą, a nawet najszczersi przyjaciele rządu przyznać muszą, że właśnie w wyborze osób rząd nie miał szczęśliwej ręki, a o Flottwelów dziś trudno. Na czele Księztwa i Prus Zachodnich zamierzono postawić osobistość z rodu książęcego, która równocześnie posiadać miała krzesło i głos w ministerstwie stanu. Zamiar ten stoi w związku z pobudowaniem zamku królewskiego w Poznaniu. Zdaniem „N. Pol. Corr.“ tak Polak jak Francuz uznaje tylko panowanie takich osób, które mu imponują.“

W sprawie *wystawy wszechsłowiańskiej* — która rozbrzmiewa u nas coraz głośniej — pisze obszernie i wymownie warszawski korespondent *„Dzień. Pozn.“* (F.) Aczkolwiek przemawia za udziałem naszym w wystawie, robi pewne zastrzeżenie. Gdyby wystawa miała charakter polityczny lub charakter wszechrosyjski i nie miała „stworzyć nic nowego w kwestyi rozwoju idei słowiańskiej, w kwestyi jej rzczywistego postępu na podstawie równouprawnienia wszystkich Słowian“ — wtedy „oczywiście byłoby koniecznem zupełne wstrzymanie się od uczestnictwa ze strony Polaków“.

*„Gaz. Tor.“* bez zastrzeżeń głosuje za udziałem naszym w wystawie. *„Orędownik“* zajał stanowisko wyczekujące

Atoli śremski korespondent „Orędownika“ pisze:

„Czy myślicie, że Czechy się długo namyśleć będą, czy wziąść udział w wystawie wszechsławiańskiej w Petersburgu? Oni powiedzą sobie: „jesteśmy Sławianami, a zatem tam być musimy, czy nam to jaką korzyść przyniesie, czy nie.“ A my spieramy się na dobre, jakbyśmy się wcale do wielkiej sławiańskiej rodziny nie przyznawali! Dziś nikt z nas jeszcze przewidzieć nie może, czy obecność nasza na wystawie sławiańskiej nam korzyść przynieść może, czy nie. Czasy zmieniają się ogromnie i to prawie w oczach. Oglądanie się na to, co powiedzą hakatyści, trąci mocno przesadą i tchórzostwem!“

Mimo uchwały, przeciwnej uczestnictwu Polaków w wystawie, zapadłej w Tow. Przemysłowem w Poznaniu, zdaje się, że *vox populi* wypowie zdanie, by stanąć w szeregu ludów pobratymczych na wystawie.

*B. M.*



## Głosy od Przyjaciół.

*Łabiszyn*, 2 stycznia 1903.

„Popierajcie swoich!“ oto hasło wygłaszane przez wszystkich dobrze myślących Polaków, z którymi i pod tym względem się solidaryzuję. Chwalebną rzeczą popieranie swoich, ale — przyjrzyjmy się także odwrotnej stronie medalu.

Niestety są pomiędzy naszymi kupcami tacy, którzy wyzyskują usposobienie ogółu i polskich klientów nie szanują sobie, uważając, że Polak powinien i musi od nich kupować. Ale gdy pojawi się w ich składzie Niemiec, kłaniają mu się do ziemi, zniżają dla niego ceny, poczytując sobie za zaszczyt, iż nawiedził ich skład. Służalstwo niektórych kupców wobec Niemców jest wprost obrzydliwe a lekceważenie i drażliwość wobec rodaków przechodzi wszelkie pojęcie.

Dochodzi mnie z wiarogodnego źródła wiadomość o zdarzeniu, które rzuca cień na nasz stan kupiecki. Opowiem pokrótce ten fakt smutny, ale prawdziwy.

Żona pewnego znanego w okolicy rzemieślnika udała się przed świętami do rzeźnika. Znając cenę położyła zaraz pieniądze na stół, które sprzedający schował w kieszeń, i czekała by wydał jej żądany towar. Gdy towar okazał się niedobrym zażądała innego, ale rzeźnik nie wydał jej go, mówiąc iż nie dała mu pieniędzy. Na domiar niemal wypędził ją ze składu, wymyślając jej od oszustki, pijaczki itd. W żadnym wypadku kupiec nie powinien się tak zachowywać wobec klientki, gdyby nawet prowokowano go, a cóż dopiero powiedzieć, gdy kupiec napada w ten sposób na rzetelną kobietę? W wielu razach buta polska nie zna granic. Dzisiaj nawet, gdy gromy nienawiści i niechęci wrogów uderzają w nas, nie umiemy się szanować i odstręczamy tych, którzy w myśl hasła: swój do swego, przynoszą nam swój grosz.

Może niejeden powie, że to sprawa drobiazgowa, nie warta rozgłosu w gazecie. Ale podobnych wypadków dałoby się naliczyć wiele, a wszystkie dowodzą, że wielu naszych kupców powinno nareszcie nauczyć się grzeczności względem swoich. Strofujemy tych Polaków, co kupują u obcych, więc musimy też strofować tych polskich kupców, którzy niegrzecznem obejściem zrażają rodaków od składów polskich, nie przysługując się przez to ani sobie, ani wogóle kupcom polskim.

*Gorliwy czytelnik „Pracy.“*

* * *

*Z Omula pod Lubawą*, (Prusy Zach.)

W końcu listopada czy tam na początku grudnia r. z. odebrał obywatel Jakób Czajkowski z Omula pozew sądowy jako opiekun. Przedłożono mu sprawę, dotyczącą sieroty, chłopca Adama Krawczewicza z Omula. Chłopiec w kwietniu kończy 13 lat, jest ulokowany u gospodarza w Omulu, na przyszły rok miałby chodzić na naukę, do szkoły był posyłany i dosyć dobrze się uczył.

Sędzia starał się opiekuna przekonać, że chłopak w zakładzie sierót w Jastrowie mógłby mieć lepiej. Opiekun podpisał zezwolenie na umieszczenie chłopca w Jastrowie. Dopiero później przyszło p. Czajkowskiemu do głowy, a czy też ten zakład sierót w Jastrowie jest katolicki? Zaniepokojony napisał do Jastrowa list, włożywszy znaczek pocztowy, z zapytaniem, czy ten zakład jest katolicki? Dotychczas nie dostał odpowiedzi.

Pan Czajkowski powiada, że tego samego dnia, w takiej sprawie, jak on, był także drugi opiekun ze Złotowa pod Lubawą terminowany.

Dnia 25 grudnia r. z. był p. Czajkowski na sądzie, aby swoje przyzwolenie cofnąć. Sędzia nie mając czasu, posłał go do sekretarza. Jaki będzie skutek? — nie wiadomo.

Tymczasem p. landrat z Nowego Miasta zadekretował, aby wójt gminy Omula w 14 dniach odstawił chłopca i jakieś tam świadectwa dołączył.

Proszę gazety polskie o powtórzenie tego naszego kłopotu, bo coś podobnego może i gdzieindziej wydarzać się będzie.

*Czytelnik „Pracy.“*

* * *

*Wattenscheid* (Westfalia), 28 grudnia 1902.

Kochana „Praco!“

Zdarzył się tu w naszem Towarzystwie Sokołów wypadek, który Wam opowiem, aby posłużył za przestrogę.

Na posiedzenia przybywa zawsze policyant, rozumiejący po polsku, dla nadzorowania. Trzy tygodnie temu, po posiedzeniu gdy policyant był już na wyjściu jeden z Sokołów wydobył z kieszeni śpiewnik sokoli i podał go przewodniczącemu druhowi i zanuciliśmy pieśń. Policyant spostrzegłszy książkę, o którą widocznie chodziło mu, wrócił się i zażądał wydania jej. Odmówiliśmy. Policyant jednak począł przedkładać, że on tylko chce go przejrzeć w domu prywatnie i tak rzecz tłomaczył, że sam nie wiem jak mu się śpiewnik dostał w ręce. Skoro go dostał, zwrócił się do druha, który był właścicielem śpiewniczka, z zapytaniem jak się nazywa i gdzie mieszka, mówiąc, że mu śpiewnik odniesie do mieszkania, w razie gdyby go na posiedzeniu nie spotkał. Ale skoro dowiedział się nazwisko i adres odezwał się po niemiecku w tym sensie: „Śpiewnik ten obłożyłem aresztem. Jeżeli nie zawiera nic niebezpiecznego odbierze go z powrotem, w przeciwnym razie — nie.“ Minęły trzy tygodnie, a druh nasz nie odebrał śpiewnika i nie wiadomo, co z tego wyniknie.

Śpiewniczek nie zawiera nic karygodnego, ale kto wie czy druh nasz nie narazi się i tak na nieprzyjemności przez nieoględność i łatwowierność. Trzeba się ogromnie strzedz, by nie ściągnąć na Sokołów jakiej kary, a o to nie trudno, bo policya nie łaskawa na Sokołów. Więc baczność!

*Stary czytelnik „Pracy.“*



## Na ślizgawce.

Album „Pracy.“ Kopia obrazu T. Kleechassa. Drukiem „Pracy.“

# Dział illustrowany.

## KULIG W POLSCE.

(DO ILLUSTRACYI.)

Do najpiękniejszych zabaw, które odgrywały wielką rolę w życiu naszych przodków, należał kulig, zwany także kulikiem, zapewne od laski, zakrzywionej u wierzchu w „kulę,“ którą posyłano naprzód do dworów z oznajmieniem, że kulig niedługo zawita.

Kulig był właściwie tańcującą zabawą, przedstawiającą wiejskie krakowskie wesele. Grono młodzieży z dobraniem starszych osób układało plan zabawy, do której zwykle należeli: starosta i starościna weselni, drużbowie, druhny, państwo młodzi, organista i organiścina, żyd arendarz, młynarz i młynarka, a czasem jeszcze Górale, Cyganie i wróżki. Wszyscy ubierali się po wiejsku bez masek. Oprócz tego należały do kuligu osoby w maskach, poprzebierane za Hiszpanów, Francuzów, pielgrzymów i t. d. Przebieranie odbywało się zwykle w karczmie, gdyż mianowicie delikatne stroje damskie mogłyby się przez dłuższą podróż podusić.

Nasze illustracye przedstawiają na pierwszym obrazie „Kulig wielkopolski“, na drugim „Kulig krakowski“, a na trzecim „Krakowskie wesele.“ Na pierwszych dwóch rycinach widzimy zimowy polski krajobraz, w głębi dwór wiejski, do którego pędzi sań kilkanaście z uczestnikami zabawy, a dziarska młodzież harcuje na koniach. Trzecia rycina wyobraża zabawę w pokoju. Oto na lewo gruby jegomość z ogromnym kołnierzykiem bawi panie rozmową; na prawo arlekin, t. j. śmieszek, bawiący dowcipami towarzystwo, daje takt muzyce. W środku świetlicy dziarscy Krakowiacy i piękne Krakowianki tańczą mazura. Mimowoli przypomni się zwrotka z „Maryi“ Malczewskiego:

My sobie jedziem kulikiem;
I w noc, i we dnie,
Wesołe, szalone, przednie,
Maska nas kryje — a kto chce wiedzieć,
Zkąd my i czyje, to odpowiedzieć
Śmiechem i krzykiem.
Szczera ochota
Otwiera wrota;
Bo Krakowianki i pielgrzym stary,
Żydzi, cyganki uderzą w pary.
Wróżki, djabli, nie oszusty
W puhary.
Lecim saniami,
I jadą z nami
Wrzawa, śmiech pusty;
Czy znasz ty polskie zapusty?

Na godzinę przed przybyciem w umówione miejsce wysyłano do dworu, gdzie miał kulig zajechać, posła z oznajmieniem, że kulig wkrótce zajedzie. Jakoż w oznaczonym czasie szumno i gwarno zajeżdżają sanie, ale we dworze ciemno i głucho, gdyż gospodarz, usunąwszy się w głąb domu, umyślnie świecić nie kazał, udając, że się nie spodziewa przybycia gości. Starosta nie zraża się złem przyjęciem, prosząc o staropolską gościnność. Wtedy gospodarz wyjaśniwszy czoło, rzecze: „Kiedy tak, to co innego: rozgośćcie się u mnie swobodnie, jakby we własnym domu!“ Czasami targuje się jeszcze, narzekając, że nieprzygotowany, że nie umiałby godnie gości uczcić i t. d. Starosta pociesza, że przy dobrej woli wszystko się znajdzie, a dobre gospo-



Kulig wielkopolski.



Kulig krakowski.

darstwa serce wszystkiemu zaradzi. Wtem cały orszak kuligowy wali się w podwoje; wtedy gospodarz daje znak, a wnet zajaśnieją światła i zabawa rozpoczyna się na dobre. Gospodarz był przygotowany, gdyż niedawno zabił jednego lub dwóch wieprzy, a piwnicę zaopatrzył w miód i wino; gospodyni już postarała się o pieczywo. Zabawa rozpoczyna się przemową starosty. Po nim rznie oracyą organista, ubrany w żupan, z ogoloną głową. Żyd wciąż mu przerywa, przekręca wyrazy i stroi pocieszne miny. Młynarz z workiem mąki osypuje nią nieznacznie wszystkich, co mu się nawiną, albo ociera się niby przypadkiem, zatem każdy go unika. Po mowach i rozgoszczeniu orszak weselny rozpoczyna tańce. Pan młody w pierwszej parze wyśpiewuje stosowne do okoliczności krakowiaki, sławiąc mianowicie gościnnych gospodarzy. Żyd, uwijając się wszędzie, zaczepia każdego, miesza się między tańczących, psuje im porządek, a w przerwach staje w kącie, kiwa się i stroi pocieszne miny.

Na pewnym kuligu, przed 30 laty wyprawionym, starosta przemawiał następnym wierszem:

Krew nie woda — choć zła dola
Hejże, hihi, hejże, hola!
Z szczękiem — brzękiem kulig jedzie,
Kulig, kulig — ptaszek szary;
Przez lato pilnuje pola,
By się nie dał pożreć biedzie.
Na mięsopust figlarz stary
Piórka ze skrzydełek roni,
Młodych łączy w skoczne pary,
W podkóweczki ognia dzwoni,
I przeróżne figle wiedzie,
Hejże, hihi, — hejże hola!
Z szczękiem, brzękiem, kulig jedzie,
A na przedzie
Starosta wesele wiedzie.
Panna młoda — jak jagoda,
Serce miodek, usta koral,
A pan młody, — żwawy, hoży,
Wart posiadać ten dar Boży.
Nieopodal
Piękne druhny, gdyby łanie;
Dość tylko popatrzeć na nie,
A serce bierze kochanie.

W podobny sposób przemawiał dłużej starosta z wielką uciechą zebranych. Po nim wystąpił organista z uczniami, składając w następny sposób życzenia młodej parze:

Staję przed wami z animuszem,
Z uczonych szkołaków prezencyą,
I taką wam palę oracyą:
Żyj złączona paro setne lata,
Niech ci sprzyjają bona fata.
Niech twój wiek tak upływa
Jak ambrozyjska oliwa,
Niech płynie słodko...

*Żyd* (przerywa)

..... jak lagier u śledzia.

*Organista.*

I niech się ciągnie....

*Żyd.*

.... jak zająca skórka,
I niech się drapią jak kot i wiewiórka.

*Organista.*

Niech ci szczęście (nie przeszkadzaj żydzie)
Z wielką fortuną ze wszystkich stron idzie.
Niech idą, jadą, spadają honory,
I cni synowie dziedziczą splendory,
Córy niech mają królewskie fawory.

W podobny sposób odbywały się przemowy, zmieniane stosownie do okoliczności i znajdujących się osób.

Zdarzało się, że wpadał drugi kulig, złożony z samych Górali, którzy się ukryli w oficynie. Wówczas następuje sprzeczka; Górale się niby dąsają, że im przerwano spodziewaną wkrótce zabawę, że nowi przybysze najechali dom i naruszają ich prawa pierwszeństwa itd. Żyd góralski sprzeciwia się żydowi Krakowiaków, więc zaczynają się kłócić; tamten gada np.: „ny! a co ty za jeden, co ty za siacher, gałgan, auf meine munes!“ — A drugi odpowiada: „Ny to ty sam jezdeś osiust, ja cię znam, ty od Skawiny, tyś złodziej rabuśnik, ganew.“ W końcu obydwa orszaki za pośrednictwem gospodarza się godzą; następuje zapoznanie. Żyd nawet, przypatrzywszy się lepiej swemu koledze, przeprasza go, gdyż poznał w nim krewniaka i spólnika skórkami zajęczemi. Dopieroż to zaczyna się zabawa wśród śmiechów, dowcipów i ogólnej wesołości.

Jeżeli się zdarzył kulig w ostatni wtorek, wtenczas o północy jeden z kuligowców przebierał się, aby przedstawić post. W czapce z cukrowego papieru na głowie, w jednej ręce trzymając bat, a w drugiej główkę śledzia na kiju, prawi przemowę, wzywając do pokuty, a potem chce rozpędzić kulig na cztery wiatry. Nie zawsze kulig ustępował, czasem hulał do samego rana, choć się tak nie godziło.

W kuligach brała udział nietylko młodzież, ale i starsze osoby, mianowicie dawni wojacy chętnie się przyłączali do towarzystwa kuligowego. Szczególnie kobiety, a mianowicie dziewice i matki, mające panny na wydaniu, kuligom sprzyjały. „Obok zabaw“, pisze Ł. Gołębiowski, „ileż się nie ułatwiło interesów, układów, narad obywatelskich nawet, albo słodkich związków rodzin-



Wesele krakowskie.

nych; ileż w tem zbliżeniu nie powstało miłości, skojarzeń, związków ślubnych? Znalazł młodzian sposobność być umieszczonym obok swej dziewicy, tulić ją od zimna, ochraniać, częściej z nią mówić, bawić i jej się podobać; a jeźli były jakie zawady, trudności, niechęci, za sprawą tylu osób zdołał ją usunąć i uzyskać zezwolenie. Wszelki przypadek zwykle niebezpiecznym nie był: tam twarz nadmrożoną otarto śniegiem, tu lekki wywrot zabawił tylko, podwajając niewinność i wesołe śmiechy. Nie znano przedrwiwań, kłótni, pojedynków; nieporozumienie wnet ustępowało, mianowicie gdy płeć piękna prosiła o zgodę. Kto widział chociażby cień jeszcze tych zabaw, przyzna z rozrzewnieniem: jak ludzki, jak uprzejmy, gościnny, dobroduszny był ten naród; rodzina to jedna zdawała się jakoby, weseląca się razem, używając darów swej błogiej ziemi. Ta gromada, podobna do alpejskiej śnieżycy, wzrastająca coraz bardziej, gdzie spadła, to dlatego jedynie, ażeby wesołość pomnożyć, starożytny obyczaj zachować, serca zbliżać, spólnych uciech doznawać, nie zaś klęski roznosić."



*Modlitwa.*

Nawet królowie polscy brali udział w kuligach. Dnia 20 stycznia 1695 roku wyjechał kulig, złożony z najznakomitszych osób, z pałacu Daniłowiczów w Warszawie. Wspaniałych sań było 107; na 10-ciu sankach mieściła się muzyka, którą składali: żydzi z cymbałami, Ukraińcy z teorbanami, trębacze i jańczarska kapela. W ostatnich saniach siedziała młodzież, rozrzucająca wiersze ułożone umyślnie na ten cel przez Ustrzyckiego i Chrościńskiego. Kulig zajechał najprzód do pałacu Sapiehów, potem do siostry króla, księżnej Katarzyny Radziwiłłowej, następnie do wojewody Potockiego, do księcia Lubomirskiego itd. Gdzie tylko przybyli, zaraz gospodarz oddawał klucze od piwnicy, a gospodyni od śpiżarni. Każdemu z gości wolno było do uczęstowania brać wszystko podług życzenia. Wszędzie grała kapela; tańczono pewien czas i ruszano dalej. Ostatni zajazd był do Wilanowa, gdzie król Jan III Sobieski z żoną przyjmowali gości chętnem sercem; częstowano wszystkich a nawet służbę dworską i zabawa długo w noc się przeciągnęła. Z powrotem wracał orszak przy blasku 800 pochodni.

Może niejeden zarzuci, że kosztowne kuligi rujnowały szlachtę, że to był wogóle niepotrzebny zbytek. Ludzie mają wrodzoną chęć do zabawy, czego nie można ganić, jeżeli zabawa jest uczciwą i tanią. Dawni Polacy, bawiąc się kuligami, mniej wydawali pieniędzy aniżeli obecne pokolenie. Policzmy, ile kosztują dzisiejsze bale, reduty i pijatyki, połączone z karciarstwem? Dawniej szlachcic miał wszystko własne, co służyło do przyjęcia gości, chyba tylko wino kupował, choć i wino zastępowano często miodem.

Staropolskie kuligi minęły bezpowrotnie. Zdarzają się nieraz podobne wycieczki, noszące nazwę szlichtady, ale ograniczają się tylko na jednę lub dwie wioski. Można przecież i dziś korzystać jeszcze z kuligów i urządzać podobne zabawy, które miałyby z tego powodu wielki urok, jako staropolskie. Na zakończenie podajemy z dzieła Kolberga uwagę starego kuligowca o dawniejszej młodzieży: „Oj były to lepsze czasy jak dziś, bo nam i młódź trochę podupadła na duchu i na humorze. Któreńże z młodych, przyzwyczajony do wygód, poważyłby się dziś jechać konno przy 18 stopniach mrozu w kaftanie i karazyi bez futra, milę drogi, a czasem i więcej obok sanek swej dziewczyny! A było ciepło i ochoczo, nosa ani ucha człek nie odmroził. Jakoś to było, — i był człek wesoły oraz zdrów na chwałę Bogu i poczciwym ludziom na pociechę."

*Józef Chociszewski.*

## Bismark angielski.

(Do illustracyi.)



Joe Chamberlain (Czemberlen).

W ostatnich czasach w Anglii coraz wyraziściej zaczyna zarysowywać się postać męża stanu, który dla Anglii jest tem, czem dla Niemiec był Bismark. Jest nim Joe Chamberlain (Czemberlen.) Człowiek to już nie młody, liczy bowiem lat 66, ale zarówno wygląd zewnętrzny, jak i energia wrodzona, czynią go o wiele młodszym. Syn bogatego kupca z Birminghamu, całe życie i działalność swą traktował po kupiecku. Za rządów Gladstona dzierżył tekę ministra skarbu (w r. 1880—85-ym), poróżniwszy się jednak z genialnym mężem stanu w sprawach polityki irlandzkiej, zerwał z partyą liberalną i stanął na czele stronnictwa „unionistów," to jest tych, którzy domagają się zupełnego wcielenia Irlandyi do Anglii.

Przed siedmiu laty objął ster spraw kolonialnych. Na tem to stanowisku stał się głównym rzecznikiem zaboru Transwaalu i Oranii. Plan swój przeprowadził z nieubłaganą konsekwencyą. Dziś w Anglii jest on najenergiczniejszym, a zarazem najbystrzejszym mężem stanu. Podczas wyborów w 1890 r. powołano go w Birminghamie niemal jednogłośnie do parlamentu, którego jest duszą.

Nieprzebierający w środkach, mówca gwałtowny, człowiek ambitny, mający za zasadę hasło „siła przed prawem,"

nie bez słuszności już dziś nazywany bywa wśród swoich „angielskim Bismarkiem.“

Chamberlain bawi obecnie w stolicy Transwaalu, zkąd robi wycieczki na prowincyę. Między innemi udał się do Pietermaritzburgu. Wielki tłum ludu wznosił okrzyki na jego cześć. Podczas bankietu domagała się ludność kilkakrotnie ukazania się Chamberlaina, który wygłosił na balkonie mowę. Zaznaczył w takowej, że Anglia śledzi z żywym interesem rozwój swych kolonii i wzywał kolonie, by zrozumiały obowiązki względem kraju ojczystego

*—ski.*

## Nasze illustracye.

**Zasadzka.** Illustracya zamieszczona na stronie 49 obrazuje jeden z licznych epizodów ostatniej wojny niemiecko-francuzkiej. Żołnierze francuzcy czyhają na nieprzyjaciela ukryci w lesie leżącym nade drogą. Położenie staje się groźnem, gdyż nieprzyjaciel widocznie wytropił ich ślad. Malarz-artysta, E. Beumetz, dzielnie odtworzył typy swych ziomków wojaków.

* * *

**„Do widzenia.“** Reprodukcya obrazu pędzla A. J. Elsley'a, zamieszczona na stronie 52, przedstawia zabawną chwilę ze świata dziecięcego. Rozkoszne dziewczątko bierze sobie do zabawki jedno ze szczeniąt z budy suczki i oddala się ze słowy: „Do widzenia.“ Obraz świadczy o rzeczywistym talencie artysty.

*—ski.*

## Na mroźnem niebie...

Na mroźnem niebie milion gwiazd
Iskrzy się, pali, mruga...
Samotna, pusta droga wdal,
Noc idzie cicha, długa.

Na świeżym śniegu, cieniów ślad
Odciska stopą bosą,
A przed nią, w siny, mglisty słup
Lekkie się pary niosą.

U okna co je srebrzy szron,
Z podpartą siedzę skronią,
I patrzę, jak swój złoty blask
Te gwiazdy cicho ronią.

I myślę, ile oczu już
Tak biegło tam przez wieki,
I co im mówił niebios strop
Gwiaździsty — a daleki...

I myślę — ile serc i wiar
Poszło już w proch i w pyły,
Którym tak samo w cichą noc
Te gwiazdy już świeciły...

Obietnic, miał-ci ludzki ród,
Tyle co gwiazd na niebie,
I tyleż razy płakał już
Na złudzeń swych pogrzebie.

I żaden znak, i żaden głos
Nie bronił go w rozpaczy,
I kładł się w grób nie wiedząc, co
Z tych gwiazd najmniejsza znaczy.

I myślę, jakich czarów moc
Porywa nam spojrzenia,
Tam, gdzie nad morzem naszych łez
Nic wcale się nie zmienia...

I czuję mroźnej nocy dech,
Jak na mnie pustką dmucha,
I gasi we mnie życia skry,
I drżący płomień ducha.

I tysiąc na mych ustach słów
Niewymówionych dyszy...
A jakiś cichy, smętny głos
Szepce je za mnie w ciszy.

*Marya Konopnicka.*



## Wróżka Stanisława Augusta.

(Wspomnienie historyczne.)

Było to przed stu laty za t. z. pruskich czasów Warszawy. Na Krakowskiem Przedmieściu wprost klasztoru pp. karmelitek znajdowała się kamienica, będąca własnością osoby, zwanej w wyższych sferach Mademoiselle Lulli, a w ustach ludu wróżką królewską. Nadmieniamy, że kamienica ta, póżniej mająca hypoteczny nr. 371 (tuż obok domu S. Orgelbranda), została w 1864 r. razem z innemi domami przy rozszerzaniu Krakowskiego Przedmieścia zburzoną.

Właścicielka kamienicy, Mademoiselle Lulli, w 1801 r. liczyła przeszło 80 lat wieku, lecz staruszka krzepko się jeszcze trzymała. Lubo cudzoziemka, od wielu lat osiadłszy w Polsce i pozostając w stosunkach zażyłych z całą magnateryą, żywiła dla kraju przybranego uczucia przyjazne. Bogata, ustosunkowana, zamiłowana we wszelkiego rodzaju intrygach, była Lulli mimo sędziwego wieku gorliwie szpiegowana przez Prusaków, którzy nie czuli się w Warszawie ugruntowanymi i wciąż wietrzyli spiski. Jak pałac pod Blachą, gdzie rezydował książę Pepi (Józef Poniatowski), tak i dom Lulli, policya pruska miała w szczególnej pieczy.

Osławiony dyrektor tej policyi Ferdynand de Tilly uważał staruszkę za promotorkę przygotowującej się rewolucyi. Jeżeli sędziwa Lulli nie była wyraźnie niepokojoną, zawdzięczała to ówczesnemu gubernatorowi Köllerowi, ludzkiemu naczelnikowi miasta, który prześladowcze zapędy de Tillego nieraz musiał hamować.

Zdarzyła się przecie okoliczność, że dyrektor policyi na własną rękę dopuścił się wielkiego bezprawia: Jeden z zauszników de Tillego doniósł, że Lulli przechowuje w swoim domu masę broni, a nadto, że ukrywają się tam dwaj emigranci z kategoryi najniebezpieczniejszych. Szpieg twierdził, jakoby sam książę Józef Poniatowski w porze nocnej odwiedzał Lulli i brał udział w naradach przygotowującego się spisku.

De Tilly otrzymawszy tę wiadomość późnym wieczorem dnia 30 listopada, zarządza natychmiastową rewizyę u sędziwej Francuzki. Otoczono więc dom i dobrze już po północy policya pruska z dyrektorem swym na czele wtargnęła do wnętrza kamienicy. Wiedziano, że mieszkanie Lulli posiada mnóstwo skrytek i rozmaitych przejść tajemnych — ztąd do udziału w rewizyi i pilnowaniu, aby nikt z domu nie wyszedł, użyto całej kohorty policyjnej.

De Tilly, mimo najstaranniejszych poszukiwań, nikogo nie znalazł, a nawet śladu jakiejbądź tajnej agitacyi niewykrył. Skompromitował się tedy podwójnie raz, że dał się zmistyfikować, a powtóre, że hałaśliwa rewizya wzburzyła miasto, a gromadzące się przez cały dzień 1-go grudnia tłumy zagrażały na seryo spokojowi publicznemu.

Köller zawiesił wówczas de Tillego w obowiązkach, do których został póżniej przywrócony, jednak po odsiedzeniu w Berlinie kilkotygodniowego odwachu z wyroku króla pruskiego.



E. Beaumetz. **Zasadzka.**

Jedynym rezultatem brutalnego czynu był przestrach Lulli, która wówczas została sparaliżowaną i w niespełna rok później zmarła.

Zapewne temu wypadkowi należy zawdzięczać pewną sympatyę ludu warszawskiego dla nieboszczki, gdyż pogrzeb jej, jak zaznaczyła współczesna *„Gazeta Warszawska“* „zgromadził mnóztwo publiczności wszelkich stanów.“ Gdyby nie owa rewizya policyi pruskiej w nocy z dnia 30 listopada na 1-szy grudnia, niewątpliwie niktby się starą Francuzicą nie zajmował, zwłaszcza, że przeszłość jej intrygancka i awanturnicza, sympatyi budzić nie mogła. Ogół uważał Mademoiselle Lulli nietylko za wróżkę, ale i za jedną z licznych metres Stanisława Augusta Poniatowskiego, wydatkującego olbrzymie sumy nie na same obrazy i dzieła sztuki, lecz i na kurtyzany.

Lecz zkąd się w Warszawie wzięła i osiadła osławiona Mademoiselle Lulli? Cofnijmy się wstecz o lat kilka dziesiątków. Paryż za czasów Ludwików, posiadał obok uczonych filozofów i utalentowanych literatów, moc wróżbitów, wróżek, czarowników i szarlatanów. Praktyki kabalarsko-magiczne, a jak się dziś mówi okultystyczne, były wówczas w modzie. Zanim się pojawili Mesmer i Cagliostro, rozgłośni w całej Europie szarlatani i awanturnicy, w paryskim światku dworskim zasłynęła jako kabalarka i wróżka, niejaka Zofia de Puget, inaczej Lhuillier zwana. Była to sprytna, dowcipna osóbka, pochodząca ze szlachty zubożałej i z wróżbiarstwa ciągnąca niezgorsze zyski. Czy tylko z wróżbiarstwa? W epoce intryg dworskich i rozpustnych awanturek, takie osoby jak Lhuillier były potrosze i kurtyzanami i... meklerkami. Ale publicznie, Zofia de Puget uchodziła za arystokratyczną kabalarkę, posiadającą obszerną klientelę. Nic dziwnego, że młody Stanisław August Poniatowski, jako jeszcze pan stolnik litewski przebywając w Paryżu, został przez towarzyszów zabaw na paryskim bruku, zaprowadzony do modnej kabalarki.

Poniatowski nie przywiązywał wówczas zapewne wagi do wróżb i przepowiedni, lecz ulegając modzie kazał sobie postawić kabałę. Wróżka, spełniając życzenie młodzieńca, naplotła mu mnóztwo bredni okraszonych dowcipem. Wogóle przepowiednia z kart nie wychodziła z granic banalności. Kiedy jednak poczęła wróżyć z ręki — była bowiem i chiromantką — sytuacya się zmieniła. Wiedziała Lhuillier, że młodzieniec jest cudzoziemcem z dalekich stron, ale o Polsce jej znajomość geografii była zapewne mniej niż szczupłą. A jednak, przyglądając się pewnej linii dłoni, rzekła:

— To wskazuje, że będziesz panował, zasiądziesz na tronie jako król...

— Niema w tem nic niemożliwego — odparł śmiejąc się Poniatowski — u nas, gdzie tron jest elekcyjny, każdy szlachcic ma prawo stawiać swoją kandydaturę na króla.

— Wybiorą właśnie ciebie i najniezawodniej zostaniesz królem.

— Przyjemna wróżba — rzekł Poniatowski — a jeżeli się sprawdzi przepowiednia, zapraszam dobrą wróżkę na stały pobyt do mego przyszłego królestwa.

— Trzymam za słowo — odpowiedziała Lhuillier zupełnie seryo.

Oczywiście, że i Poniatowski i jego towarzysze świadkowie wróżby, śmieli

się z mistyfikacyi, niemającej wówczas ani cienia prawdopodobieństwa.

Kiedy jednak w kilka lat później pan stolnik litewski zasiadł na tronie, odebrał on z Paryża bilecik, zawierający te wyrazy:

„Moja przepowiednia ziściła się; czekam na spełnienie uczynionego przyrzeczenia“ podpisano: Zofia de Puget Lhuillier.

Prawdopodobnie wróżce nieszczególnie się wiodło w Paryżu. Wyszła już z mody, czy też zapragnęła spróbować swych wpływów w stolicy obcego kraju, dość że gdy Stanisław August przez zaufanego dworzanina umyślnie posłanego do Paryża, zaproponował Lhuillier przyjazd do Warszawy, ta się bez namysłu zgodziła. Proszono tylko, aby po upływie kilku miesięcy zjechała.

Wdzięczny król gotował dla swej wróżki królewskiej istotnie niespodziankę. Kupił tedy wspomnianą już na Krakowskiem Przedmieściu kamienicę i rozkazał urządzić w niej mieszkanie, będące najwcześniejszą kopią pod względem rozkładu i umeblowania lokalu, jaki Lhuillier zajmowała w Paryżu. Dworzanin przysłał plany nadzwyczaj szczegółowe.

Gdy wróżka zjechała do Warszawy, wszystko już było gotowe i wprawiało Paryżankę w podziw oraz wdzięczność dla królewskiego protektora. Dom miał pełno skrytek i przejść między ścianami, a wewnętrznem urządzeniem budził we wszystkich zachwyt. Cały dwór, magnaterya polska i co miało styczność jakową z zamkiem królewskim szukało u Mademoiselle Lulli (tak ją przez skrócenie zaczęto nazywać) wróżby i hojnie płaciło. Znakomite damy, zjeżdżające na kabałę i na... schadzki miłosne, mogły swobodnie kryć się przed mężami w skrytkach i tajemnych przejściach.

Zanim wyszła na jaw wróżba tronu dla Poniatowskiego, ogół Warszawian uważał pannę Lulli za kochankę królewską.

Na tem podaniu oparty, poeta Dominik Magnuszewski w powieści swej p. t. „Posiedzenia malarza Bacciarelego“ przedstawił Zofię de Puget jako kochankę Stanisława Augusta. Błędna to opinia, chociażby z powodu, że Mademoiselle Lulli była od króla starszą o lat kilkanaście i posiadała urodę, w jakiej Poniatowski nigdy nie gustował. Owszem, chciał swą wróżkę nieraz zeswatać, a na amatorach podobno nie zbywało, lecz Lulli stale odmawiała, przekładając życie swobodne, coś w rodzaju swoich rodaczek kurtyzan, np. słynnej Ninony de Lanclos.

Pensya, jaką otrzymywała od Stanisława Augusta, skończyła się z jego wyjazdem do Petersburga, ale wróżka królewska, oprócz kamienicy, przyszła do dostatniego mienia, żyjąc wciąż na stopie magnackiej, otoczona rodziną, albowiem na kilkanaście lat przed zgonem sprowadziła do Polski siostrzenicę i dwóch siostrzeńców. Mimo poniesionych strat z powodu bankructwa Prota Potockiego, u którego Lulli umieściła znaczną sumę, spadkobiercy odziedziczyli po niej, oprócz wspomnianej kamienicy, jeszcze krociową fortunę. Rzemiosło wróżki i sprytnej pośredniczki wśród zepsutego dworu Stanisławowskiego, w połączeniu z hojnością króla pozwoliły eks-paryskiej kabalarce uciułać znaczny majątek.

Zofia de Puget posiadała wybitny talent malarski, w zakresie miniatur portretowych. Pozostały po niej miniatury różnych znakomitości tamtoczesnych. Szczególniej zwracała uwagę miniatura pani Krakowskiej, siostry króla, umieszczona w galeryi portretów rodzinnych w pałacu Łazienkowskim. Na terytoryum Łazienek ozdobny pałacyk nazywano do 1830 r. pawilonem Mademoiselle Lulli. Tam bowiem wróżka Stanisława Augusta przez wiele lat podczas miesięcy letnich przebywała na willegiaturze.

*S. Antoniewski.*

## Dumałam....

Dumałam często o szarej godzinie,
Kiedy to dusza ulata w przestworza,
Staje się lepszą i pragnie jedynie
Dobra dla innych, — kiedy miłość Boża
Serce zapala!

Pytałam wtedy, czemu kocha serce
Tych nieszczęśliwych, te tłumy w niewoli,
I tych maluczkich, tych, co w poniewierce,
Tych, co w rozpaczy, i tych, których boli,
Że poniżeni?

Czemuś w me serce tyle wlał miłości,
O Boże wielki! i tyle pragnienia
Czynienia dobrze, — i tyle tkliwości,
I uczuć szczerych, chęci poświęcenia
A sił tak mało?

Cóż czynić winnam? Jak polepszyć dolę
Choć jednej duszy, chociaż jednej biedy?
O natchnij, Panie, poddam moją wolę,
Uczynię wszystko, co każesz i kiedy,
By łzy ocierać!

*Jadwiga Wyrybkowska.*

## Czarownica.

*(Nowelka.)*

W karczmie huczno i gwarno. Cała prawie ludność z Jurówki od południa się tu weseli, bo to zrękowiny żołnierza Hrycia z „Czarownicą“ Marynką.

Nikt w całej okolicy, o ile ją znano, Marynki inaczej nie nazywał, jak „czarownicą.“ Bo też chyba czarami jakiemi, ta brzydka, chuda dziewczyna, takie szczęście do chłopców miała!

Są przecie ładne i bogate dziewczęta, a jednak nikt się o nie nie dobija!

Do Marynki „czarownicy“ wielu już, bardzo wielu się zalecało; z jednych się śmiała, z drugimi była dobrze, bardzo nawet dobrze, szczerząc do nich zęby, nawet w kościele, choć to wstyd i grzech wielki! Ale ona o to nie pytała, wszystko jej było jedno, byle by się weselić mogła i tańcowała do rana.

W niedzielę, ona najwyższe obcasy nosiła u bucików; grube warkocze, w osiem splecione, na plecy puszczała, białą, suto wyszytą koszulę, której śnieżne ząbki, aż z pod spódnicy wyzierały, a na szyję kładła pełno korali, wielkich niby wiśnie, — czerwieniły się zdala.

Gdy tak szła w niedzielnym stroju, szczupła i giętka, niby sarna, z głową dumnie podniesioną, myślałby kto, że to pani jaka wielka!

Zresztą brzydka była zupełnie: twarz smagła i zdrowa, usta duże, choć czerwone bardzo, niezgrabny nos, i oczy czarne, świecące jakoś dziwnie i przeszywające na wskroś! Patrząc w nie, jakoś gorąco i zimno naprzemian się robiło i chciałbyś oczy spuścić, nie patrzyć więcej, a jednak coś ciągnie i wabi i oprzeć się im nie możesz!

Najładniejsi chłopcy z Jurówki i okolicznych wiosek, zbiegali się chętnie, żeby choć raz w zawrotnym tańcu Marynkę do piersi przygarnąć....

I zalecali jej się i swatów słali, ale Marynka jedną odpowiedź miała, jedno w kółko powtarzała:

— Mam czasu dosyć, nie pilno mi za mąż!

— Mówiła tak, dopóki Hryć z wojska nie wrócił. A był ci śliczny, niby malowanie! Włosy miał krótko ostrzyżone, wąsy czarne, duże, zawiesiste. Bieliznę nosił cienką, a obcisłe, granatowe spodnie, w buty wpuszczone.

Marynka uśmiechała się chytrze.

Tyle czasu czekała na niego, choć jej ni słowa, odchodząc, nie mówił, że

nie darowałaby sobie nigdy, by go jej która z dziewcząt odbić miała!

Po raz pierwszy zobaczyli się nad rzeką. Marynka bieliznę prała, Hryć konie pławił.

Obyczajem wiejskich kobiet, spódnicę powyżej kolan podniosła: warkocze na piersi spuściła i prała....

Hryć podjechał tuż, tuż do kładki, ale Marynka udała, że go nie widzi, tylko dalej prała....

— Jak się masz Marynko! To ty nie żonata jeszcze? — zawołał Hryć.

Marynka przeżegnała się prędko.

— Takeś mnie nastraszył, Boże ty mój luby. A co ty już wrócił sołdacie?

— A no wrócił! A ty czekała na mnie tyle czasu, choć o to nie prosił! — zaśmiał się wesoło.

— Oj głupi, głupi! Jabym czekała na kogo? Idź że ty sobie precz, a takich głupstw mi nie gadaj, bo cię wnet drewnem przeżegnam, aż ci się dawne czasy przypomną.

„Harna!“ pomyślał Hryć, ale wstyd mu było tak się z góry poddać, to też odwrócił się od niej i odjechał dalej.

Nie spojrzała za nim, choć z pod rzęs spuszczonych obserwowała bacznie sołdata! Widziała, jak odjechawszy trochę w bok oczeretu, przystanął i patrzał ku niej, jak gdyby oczu oderwać nie mógł.

Marynka uśmiechnęła się zadowolona.

— Taki będziesz mój! — szepnęła cicho.

Od tego dnia, Hryć często do futoru ojców Marynki zaglądał. Czasem wejść nie śmiał, to przejechał chociaż tędy, pogwizdując sobie niby od niechcenia, a oczy jego biegły tam, gdzie w ogródku, w polu, czy przed domem, uwijała się Marynka.

Marynka to widziała, a jednakże rzadko łaskawem go okiem mierzyła. Zwykle szydziła z niego i kpiła, z czego inni parobcy wielką mieli uciechę. A jednak bywało, gdy ją spotka czasem samą nad rzeką, albo gdy ją wieczorem do domu odprowadza, to Marynka miła jakaś, słodka — oczy się błyszczą dziko, tylko zamglone jakieś i tęskne....

Raz wracali wśród burzy i deszczu z dalekiego pola. Nagle, gdzieś w pobliżu piorun uderzył. Marynka rzuciła się w bok i nie wiadomo jak, znalazła się na piersi Hrycia. Próbowała się wydostać z miękkiego uścisku, ale Hryć trzymał ją mocno i gorącemi usty jej ust czerwonych szukał.

Marynka widząc, że mu się nie wymknie, zarzuciła ręce szczupłe i silne na jego szyję i nie odwracając oczu, wpiła się w niego miękkiemi wargami, niby ptak drapieżny — i tak trwali długo!

Nareszcie wymknęła mu się i pędem pobiegła do futoru.

Gdy ją nazajutrz na polu, między żeńcami spotkał i próbował objąć, uderzyła go tak silnie w twarz kułakiem, że mu krew z nosa trysnęła, niby fontanna.

Powstał wielki śmiech między młodzieżą, ale dziewczęta podziwem zdjęte, pytały Marynki na przemian, czemu taka sroga dla pięknego sołdata, któremu by się żadna z nich nie oparła!

A Marynka odpowiedziała wyniośle:

— Bo ja nie taka jak wy, ja już zawsze taka jestem i będę! I odwróciła się od nich pogardliwie i dumnie.

Nazajutrz po tem uderzeniu, przysłał Hryć swatów do ojców Marynki. Nikt prócz Marynki tego się nie spodziewał. Bo gdzież by się taki majętny jedynak z „czarownicą“ miał żenić?

Rodzice Marynki, dumni i szczęśliwi, z otwartemi rękoma swatów przyjęli, a w niedzielę w karczmie tę sprawę zapijali.

Marynka w nowych wstęgach u warkoczy, królowała w izbie szynkownianej.

Niejeden z jej dawnych konkurentów podchodził i dziś jeszcze, choć żonaty i kułakiem w bok ją trącał:

— Czemu tyś mnie nie chciała czarownico?

— Albo ja to wiem! — odpowiadała pogardliwie, choć z przyjemnością patrzyła na garść swych wielbicieli, a szczególniej na jasnowłosego kucharza dworskiego, Stepana.

Stepan służył od roku we dworze wraz z żoną, prześliczną, słodką i dobrą kobieciną. Było to potulne, ciche stworzenie, które chyba zbytkiem uległości grzeszyło! A jednak Stepanowa szczęśliwą nie była!

Wkrótce już zauważyła, że Marynka Stepanowi milszą była, niż jego własna żona, niż jego dzieci i dom i dostatek.... Wiedziała dużo o Marynce, bardzo dużo.... zdziwiła się trochę, że najbogatszy i najpiękniejszy z całej wsi chłopak z nią się żeni, ale z drugiej strony ucieszyła się, że Stepan do niej, prawej żony i matki swoich dzieci, znowu powróci i sama męża do karczmy na zrękowiny „czarownicy“ wyprawiła. Niech się napatrzy, jaka ona mu wierna, myślała.

Zabawa szła ochoczo. Hryć wódki coraz więcej stawiał, wmuszając w gości jadło i napitek, zajęty ugaszczaniem i rozmową ze starszyzną zebrania.

Marynka tymczasem ze Stepanem szeptała długo i widać było, że oboje czegoś źli są i nie swoi. Stepan wcześnie do domu wrócił i przez czas jakiś, kamieniem w domu siedząc, bardzo dobrym był dla żony....

Marynka i sołdat usiedli na swojem. On po za nią świata nie widział; ona widziała, oj i jak jeszcze.

W pierwszych dniach, nawet tygodniach, do Hrycia się garnęła srodze, potem znów, choć w czepcu i watowanym kaftanie, jak dawniej do chłopców się śmiała i zęby szczerzyła i oczami świdrowała.

Ludzie mówili Hryciowi o zalotności jego żony, dodawali nawet, że teraz tego lub owego bałamuci, ale Hryć, choć bladł i czerwieniał na przemian i choć ręce z bólu łamał, Marynce słówka nie mówił! Bał się, by go całkiem nie osierociła, a żyć bez niej nie mógł. I ten drab, ten wielki piękny chłopak, zmienił się na opuszczonego, brodatego mężczyznę z wpadniętemi w głąb oczyma!

I stało się, czego najbardziej na świecie obawiał się Hryć. Pewnego dnia zniknęła Marynka, zabrała wszystko co do niej należało, oraz trochę oszczędności Hryciowych, równocześnie rozeszła się wieść, że Stepan żonę i dzieci zostawił i ze służby uciekł! — Skamieniałego z bólu i rozpaczy Hrycia żadne pociechy sąsiadów do przytomności doprowadzić nie mogły. Tak trwało przez tydzień jeden i drugi.

Potem zaczął Hryć do karczmy coraz częściej i częściej chodzić.

Zdarzało się nieraz, że go ludzie pijanego pod karczmą widywali, często z czerwonym nosem spotykał go ksiądz. Napominał go wtedy potrosze, boć chłopak dawniej przykładem był dla wsi całej, ale to nie wiele pomagało!

Aż naraz, Hryć do karczmy przestał chodzić, nie pił, w domu siedział i pracował gorliwie, jak dawniej.

— Co ci się stało Hryciu? — pytali sąsiedzi.

— Na co pytać, i tak nie powiem — odpowiada uparcie.

To też dali pokój pytaniom; wkrótce zagadka sama się wyjaśniła. W drugiej wsi zaraz osiadła Marynka z kucharzem Stepanem, który bez miejsca był.

Bieda obojgu dała się we znaki. Stepan robił co mógł, by Marynce na niczem nie zbywało, choć własna jego żona z głodu marła, ale Marynce przypomniał się mąż i jego dostatki, udała się więc do niego, nie z chęci powrotu — broń Boże! ale z prośbą o pomoc.

Hryć pić przestał i dopomagał żonie. A życie wlokło mu się powoli, powoli....

Ni go zmienić, ni go skończyć, nie w jego to mocy!

Dziś Hryć już stary — biały jak gołąb, pochylony i zczerniały w pracy, a sam, na tym świecie Bożym, jak sierota jaki.

Wieczorem, gdy siedzi na przyzbie i przysłuchuje się rechotaniu żab i tęsknem okiem po oczeretach na rzece wodzi, snać jeszcze mu Marynka na myśli, bo łzy w oczach mu stają, a potem płyną zwolna, po wpadniętych policzkach....

Dziś przestał w to wierzyć, że ona wróci kiedy, na tym tu świecie, do niego, do swego męża — sam pójdzie w zimną matkę ziemię i tam czekać na nią będzie! Jeszcze rok, dwa, a potem?.... Potem Bóg to wie! On tylko wie, czy czarownica Marynka do mnie powróci?.... On wie....

*W. P.*

## „Ave Maria."

Kiedy dziś staniesz przed Boga ołtarzem,
Przed Maryi Dziewicy cudownym obrazem,
Pomyśl, jak szybko t n czas przemija
I znów pobożnie „Ave Maria!"

Na łonie matki dzieckiem gdyś siedział
Niceś o troskach, o smutku nie wiedział —
Dziś może boleść twe serce przebija,
Nie płacz, z otuchą mów: „Ave Maria!"

Swobodnieś biegał po łąkach kwiecistych
Nad rzeką, staweczkiem, po wzgórzach le-[sistych,
Wszystko to pamięć przed tobą rozwija —
Przeszło — nie tęsknij — mów „Ave Maria!"

W gronie rówieśniów, ach jakie zabawy
Pełne niewinnej uciechy i wrzawy —
Dziś radość serce nieraz omija
Osusz powieki — mów: „Ave Maria!"

Świat się nadzieją tobie uśmiechał,
Gdyś w wiośnie życia kwiatu jej czekał,
Minęła wiosna — i lato już mija
O, nie rozpaczaj — mów „Ave Maria!"

Niezmiennem kołem czas się wciąż toczy,
Srebrnieją włosy, słabość ćmi oczy
Pasmo się życia coraz to zwija —
Wyrok to Boży — mów: „Ave Maria!"

A kiedy starcem staniesz nad grobem,
Aby w nim legnąć cudu sposobem, —
Niech dusza modłą k'niebu się wzbija
Mówiąc ostatnie: „Ave Maria!"

Ostrów, 1. I. 1903. *Eres.*



*A. J. Elsley.* Do widzenia.

## Z teatru.

*„Gwałtu co się dzieje". Komedya w 3 aktach A. hr. Fredry.*

Gwałtu, co za śmiech panował w teatrze na niedzielnem przedstawieniu kostyumowej komedyi farsyjnej naszego Moliéra!

I jakżeż nie śmiać się na widok owego światka na wspak, w którym niewiasty przywdziewają stroje mężów i przejmują ich funkcye a mężczyźni w czepcach i spodnikach kołyszą dzieci, robią pończochy i znoszą grymasy swych energicznych połowic. A każdy moment komiczny autor przygotowuje z umiejętnością wytrawnego dramaturga. Tę samą myśl podejmowali inni, nowsi autorowie, lecz zestawiwszy porównawczo ich utwory z farsą naszego wielkiego Fredry — nie potrzebujemy się wcale wstydzić. Bo jak doskonale wyzyskał Fredro swój pomysł, jak zgodnie z psychiką po wsze czasy tę samą przedstawił nam rewolucyą mężczyzn pod pantoflem przeciwko hegemonii niewiast, z jaką swadą przemawia do nas ze sceny! Znawca kobiet po kolei uderza w wszystkie słabe struny natury niewieściej i państwo niewieście wali się jak domek z kart nie z powodu dzielności mężczyzn, lecz wskutek umiejętnego wyzyskania słabości kobiecych. Co za prawda tkwi w tej farsie! Dzięki tej ogromnej zalecie „Gwałtu co się dzieje" wydało nam się tak świeżym, jakby co dopiero z warsztatu dramatycznego w świat wypuszczonym utworem.

Są i na słońcu plamy, chociaż nie każdy chce to zrozumieć, a zatem možnaby podnieść, że trzy główne charaktery kobiet w szarawarach przykroił Fredro na jednę modłę, a Kasia trochę bezbarwna, dalej że o uzasadnione wprowadzanie osób na scenę Fredro nie turbował się wcale, wreszcie że dowcip autora Fredry jest zbyt subtelny i wytworny

do farsy tego pokroju, wszelako pojedyńcze sceny niemniej jak całość wołają o oklaski, których też nie szczędzono. Grano z humorem.

Panna Larys jako początkująca aktorka zdradzała w pierwszych scenach pewną tremę, objawiającą się w giestach i ruchach nieco *gauche*. W rozmowę z ukochanym nie wlała dość ciepła, jej Kasia musi się więcej kochać w Dorębie, ale w następnych aktach zyskała na pewności siebie, dała nam wdzięczną Kasię. Pani Królikowska doskonale oddała Heroda-Babę, niemniej panna Grabowska wywiązała się poprawnie z swej roli, chociaż ruchy ma nerwowe, pani Sowińska oddała spokojnie dowódzcę straży. Pan Czerniak, wielce użyteczny członek naszej sceny, ujawnił znaczną dozę *vis comica* i dzielił honory z panem Kalinowskim, który w roli plotkarza z powołania i z urzędu był arcykomicznym. Obydwaj ucharakteryzowali się wybornie. W karykaturalne postacie Kaspra i Błażeja wcielili się dobrze pp. Dobrzański i Turski. Pan Wiślański w scenie umizgów do trzech hic — mulierów zbyt przypominał Gustawa z Dziadów, co tłomaczy się tem, że odtwarzał tę postać tego samego dnia. Dlatego prawił białogłowom słodycze zanadto seryo tonem, powtóre powinien unikać rzucania się na scenie czyli szarży, lecz ogólnie biorąc był sympatycznym i dobrym Dorębą a p. Ryszkowski poprawnym Bekieszem.

Po tym spektaktu może dyrekcya przypomni nam inną sztukę z repertuaru Fredry.

*Roman Rola.*

## Na śniegu-

Gdybym srebrne piórko miała,
Tobym w szronie je maczała,
W rannym szronie, na tej łące,
Gdzie brylanty leżą drżące,
Leżą drżące, rozsypane,
Bladem słonkiem malowane,
Na naszej łące!

Gdybym srebrne piórko miała,
Na krysztale bym pisała,
Na krysztale, na tej wodzie,
Co stanęła w jasnym lodzie,
Ani idzie, ani płynie,
Tylko duma w swej głębinie...
Na naszej wodzie!

Do zimowej bo piosenki,
Ni mi kwiecia, ni jutrzenki,
Ni błękitów tego nieba,
Tylko śnieżnych pól mi trzeba,
Tylko zmarzłych pereł szronu,
Tylko bicia śmierci dzwonu,
Tylko łez trzeba!

*Marya Konopnicka.*

## KRONIKA.

Oto pogrzebaliśmy rok stary! I cóż on nam przyniósł?

Komisyi kolonizacyjnej dał nowe milionowe zasiłki — a w księdze polskiej hańby przybył niestety znowu szereg nazwisk sprzedawczyków. Na próżno polska prasa podnosi głos, na próżno grozi, napróżno stara się rozbudzić sumienie obywatelskie i opinią. Synowie szlachetnych rodów zaprzedają ziemię w wrogie ręce, a iluż to z nich położyło podstawy do tej hańbiącej sprzedaży przy zielonym stoliku?

I przyniósł nam ten świeżo pogrzebany rok ustawę taryfową, a co gorsza obostrzenie regulaminowe w parlamencie, krępujące swobodę dyskusyi.

Dla miasta Poznania rok ubiegły także ma swoje znaczenie. Mieliśmy wizytę cesarza i mieliśmy nie wesoły widok szambelanów, kręcących się wśród rojów niemieckich, ale także obywatelski czyn, który kazał się zrzec tytułu, aby nie wejść w kolizyą z własnem przekonaniem i z wolą całego narodu.

Wielki prezent spadł też na Poznań, bo zatwierdzono projekt zniesienia wałów i poruszono myśl zbudowania pałacu dla króla pruskiego. Pałac ten rozbudził bujną fantazyą hakatystów, którzy na tle tego projektu budują hiszpańskie zamki.

Poszedł też „nasz" burmistrz, pan Witting, zyskawszy tytuł honorowego obywatela — zatwierdzony jednakże tylko przez niemiecko-żydowską większość rady miejskiej.

Smutkiem zaś rok ten napoił serca naszych poznańskich hakatystów, którzy zrobili przy wyborze do rady miejskiej wielką wyprawę na Chwaliszewo. Wyprawa była bezskuteczną, a cała kampania wyborcza skończyła się dla nas pomyślnie, ponieważ zyskaliśmy trzy krzesła w radzie. Daj Boże tylko, abyśmy je mogli utrzymać i przy przyszłych wyborach nowe mieli zdobycze, aby wreszcie pękła w polskim grodzie Przemysława żydowsko-niemiecka przemoc.

Do tego jednak koniecznie potrzebnem jest, aby jak najwięcej obywateli podało się do podatku, uprawniającego do wyborów. Wyborcą może być zaś każdy nieposzlakowanej czci obywatel, posiadający wolną rozporządzalność, mający najmniej *660 mrk.* dochodu. Od tego dochodu płaci się 4 mrk. podatku państwowego i odpowiedni podatek komunalny.

Rozważcie sobie, szanowni obywatele rodacy, czy macie *660 mrk.* dochodu?

Oto mamy początek roku, gdzie każdy powinien się rozpatrzeć i przekonać się, jakiem jest jego położenie materyalne. Za nieduża sumę, bo 10 mrk. z fenygami, tyle bowiem wynosi roczny podatek państwowy razem z komunalnym, zyskacie *prawo obywatelskie wyborcze.*

Tyle ambicyi każdy obywatel posiadać powinien!

Ta ambicya powinna mówić do niego: *Ofiara nie wielka, a korzyść bardzo wielka, bo za nie wielką ofiarę zyskuję prawo wyborcze, wpływ na rządy miasta i pełne prawo obywatelskie.*

A czas zyskac wpływy na rządy miasta, ponieważ długi dzięki szerokim projektom pana Wittinga rosną i przybierają zastraszające rozmiary.

W ubiegłym też roku obchodziła cała Polska w Krakowie srebrnolecie wielkiej pieśniarki *Maryi Konopnickiej,* która, jak żaden dotąd z genialnych naszych mistrzów słowa umiała się wżyć w dolę i niedolę ludu, zrozumieć duszy jego radości i bóle.

I wreszcie w ubiegłym roku wśród naszych braci na Górnym Śląsku nastąpił stanowczy przełom. Nie mało do tego przyczynił się wydawca „Pracy," pan Biedermann, zakładając tamże pismo, głoszące hasła czysto narodowe i stające od razu na stanowisku odrębności narodowej.

Mam nadzieję, że ruch ten raz rozpoczęty nie osłabnie, a przy przyszłych wyborach do parlamentu zdobędzie kilka mandatów polskich i tym sposobem wzmocni naszą pozycyą w parlamencie.

Oby się tak stało!

*Alfa.*

**Uwaga:** Przy zamówieniu na poczcie, winien każdy wyraźnie zaznaczyć, że pragnie zaabonować „Pracę“ z *P. z-mi nia.*

## Baczność!

*Niebawem rozpoczniemy druk powieści Henryka Sienkiewicza p. t.*

## Selim Mirza,

*osnutej na tle wojny francuzko-pruskiej oraz opowieści patryotycznej Sewera, osnutej na tle prawdziwego zdarzenia w zaborze rosyjskim p. t.*

## Do swoich.

## Malowniczy opis Wielkoposki

*przerwany od dłuższego czasu z różnych powodów, a połączony z niemałemi trudnościami technicznemi, zamieszczać rozpoczniemy w dalszym ciągu w najbliższym czasie.*

*Kto z nowych abonentów życzy sobie mieć początek drukującej się powieści „Męczennica w koronie“ niech nam nadeśle na dowód, że zapisał sobie „Pracę“, kwit pocztowy abonamentowy z dołączeniem 30 fenygów w znaczkach pocztowych, gdyż tylko pod tym warunkiem początek powieści wysyłamy.*

*Początek powieści* ***„Turcy w Górnym Slązku“*** *otrzymają nowi abonenci bezpłatnie.*

Każdy ze starych abonentów, który zjedna nowego abonenta, otrzyma jako

## *premium*

*piękną książkę powieściową,* jeżeli nam nadeśle na dowód własny kwit abonamentowy pocztowy, oraz kwit zjednanego abonenta.

*Jeszcze wciąż można zapisywać*

## „Czytelnię Polską“

**na nowy rok i kwartał,**

*gdyż każda poczta jest zobowiązana dostarczyć nowym abonentom zaległe zeszyty z bieżącego kwartału.*

**„CZYTELNIA POLSKA“** zapisaną jest na poczcie w spisie gazet na rok 1902 pod rubryką: „Abtheilung II t. poln. 13.“

*Abonament „CZYTELNI POLSKIEJ“ wynosi kwartalnie*

**60 FEN.**

**W Austryi i wogóle w Austro-Węgrzech**

**97 HAL.**

*Pod opaską: kwartalnie 1,10 mk., czyli 1 koronę 23 hal.*

**W 49-tym zeszycie „CZYTELNI POLSKIEJ“**

rozpoczęliśmy bardzo piękną historyczną i patryotyczną powieść z końca XVIII wieku, skreśloną przez B. Bolesławitę p. tyt.

## „BEZIMIENNA“.

Powieść osnuta jest na tle wypadków 1794-go roku, na tle obrazu Królestwa Kongresowego, mianowicie Warszawy, w przeddzień wiosny wzmiankowanego roku, obrazu tak niezwyczajnego, jakiego nie pamiętali najstarsi ludzie, bo może też nigdy despotyzm moskiewski nie ciężył srożej nad Polską. W imię wolności wywożono na Sybir, z pod boku króla porywano ludzi, zabierano senatorów, ginęli gdzieś bez wieści urzędnicy, posłowie, obywatele... To wszystko doprowadziło do wybuchu, — naród powstał przeciw Moskalowi... Na takiem tle napisana jest powieść

**„Bezimienna,“**

której główną bohaterką jest córka biednej wdowy, piękna Helena; na cześć jej niewieścią czyha podły Rosyanin, jenerał Puzonow.

Powieść jest bardzo zajmująca, rozczulająca i owiana prawdziwą miłością naszej nieszczęśliwej Ojczyzny.

Początek tej powieści otrzyma każdy nowo przybyły abonent gratis, jeżeli nam nadeśle na dowód kwit pocztowy abonamentowy.

***Kwity pocztowe na „Pracę“ i „Czytelnię“ załączamy na osobnej i to pierwszej stronie pod okładką.***

## Wiadomości.

***— Manuskryptów nie zwracamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej gwarancyi, choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekomendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zagubienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego za nie odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie wyraźnie zastrzegł.***

***Redakcya i wydawnictwo „PRACY.“***

— **Elementarze.** Przeszło ośmnaście tysięcy elementarzy polskich oraz kilka tysięcy książek, broszur i pism ulotnych w ciągu roku rozesłało bezpłatnie i franko „Towarzystwo wiecowe“, którego siedzibą jest miasto Toruń, w różne strony Prus królewskich i przyległych powiatów, szczególnie zaś w okolice, najwięcej zagrożone germanizacyą.

Ponieważ popyt na elementarze jest bardzo wielki a kasa Towarzystwa nie posiada funduszów, tylko długi, przeto polecamy „Towarzystwo wiecowe“ ofiarności Rodaków.

Skarbnikiem „Towarzystwa wiecowego“ jest ks. prob. dr. Pobłocki w Niedźwiedziu (Bahrendorf p. Briesen W. Pr.).

— **P. Józef Kościelski** z Miłosławia zamieścił w „Dzien. Poznańskim“ następujące oświadczenie:

„Miłosław, dnia 29 grudnia 1902.

„Dla uniknięcia nieporozumień oświadczam, że zdanie, wygłoszone wobec korespondenta „Kraju,“ sam nazwałem utopią, i jako taką ją wygłosiłem. Pium desiderium dla nauczenia rozumu naszych przeciwników, nie potrzebuje być postulatem politycznym, i nie jest nim. Jest natomiast i ma być miaromierzem oburzenia na prądy i osoby, do których „po ludzku“ odzywać się nie warto.

Józef Kościelski.“

— **Na fundusz** dra Rakowskiego odebraliśmy od p. J. Rzendkowskiego z Nakła w miejsce powinszowań noworocznych 3 mk.

— **Na pomnik** śp. ks. Kardynała Ledóchowskiego odebraliśmy od p. A. Dembińskiego z Barmen, zebrane na posiedzeniu Towarzystwa „Zgoda“ 6 mk.

— **Dla 90-letniego** weterana, Belwederczyka, Maksymiliana Kosińskiego, odebraliśmy od pp. Kempińskiego, Gącerzewicza, Lenza, Karlińskiego i Kobierowskiego z Wilhelmshafen 3 mk., Mielcarkiewicza z Suchorzewka pod Ruskiem 3 mk., państwa Hoffmanów z Ostrowa 2,50 mk.

— **Z teatru.** W sobotę 10 bm. nowość: po raz pierwszy „Zgon miłości“, sztuka Roberta Bracco. Utwór ten słynnego mo-

dernisty włoskiego, autora „Pietro Caruso“ i innych, cieszył się wszędzie olbrzymiem uznaniem.

W niedzielę, dnia 11 b. m. po południu o godz. 3 piękny dramat p. t. „Watażka“ po cenach do połowy zniżonych, a wieczorem po raz drugi „Zgon miłości“.

— **Pani Helena Modrzejewska**, bawiąc u krewnych na prowincyi, była w ubiegłą sobotę w teatrze na przedstawieniu „Wilhelma Tella“. Dramat ten odegrano dobrze — w szczególności Melchtal (p. Ryger) scenę rozpaczy oddał znakomicie, za co też wręczono mu wieniec, — p. Modrzejewska wyrażała uznanie artystom, obdarzając ich gorącemi oklaskami. Przy wyjściu z przybytku sztuki zebrana młodzież pożegnała naszą sławę głośnemi okrzykami „Niech żyje!“

— **Bank parcelacyjny**, ul. Wiktoryi 12 i róg Św. Marcina, komunikuje swym interesentom i członkom na tej drodze, że dla nawału pracy wypłacać będzie *procenta* od depozytów dopiero od 10-go do 31-go stycznia a *dywidendę* od udziałów dopiero po Walnem Zebraniu, które się w lutym prawdopodobnie odbędzie. Ze względu na to upraszamy także udziały na *Nowy Browar Grodziski* zamawiać wprost u Dyrektora browaru p. Krzyżankiewicza w Grodzisku (Graetz in P.) bo tutaj wyjątkowo i tylko do 1-go lutego r. b. takowe odbierać będziemy.

— **Ważne dla przemysłowców**. Dawniej w Ratajach istniejąca fabryka parowa eterycznych olejі, esencyi i farb nietrujących Domagalski & Co. jest przeniesioną do Poznania i przez urządzenie destylarni koniaków znacznie powiększoną. Zwracając uwagę na anons tejże firmy, przypominamy wszystkim fabrykantom likworów, wód mineralnych i drogerzystom powinność korzystania z dobra, które dla polsko-słowiańskiego przemysłu przez założenie tej brakującej fabryki się stało. Założyciel jej pan Maryan Domagalski kształcił się fachowo w największych fabrykach tej branży w Lipsku, Berlinie itd. a używając nabytej wiedzy fachowej, zadawalnia dostawą pierwszorzędnych znawców.

— **Zwracamy uwagę** na zamieszczone w numerze noworocznym ogłoszenie p. Romana Mikietyńskiego ze Srody, który przejął od p. L. Stanowskiego handel win i cygar. Młodego właściciela polskiego przedsiębiorstwa polecamy obywatelstwu Srody i okolicy jako też duchowieństwu naszemu.

— **Do kasy Tow. Nauk. pomocy dla dziew. polskich** wpłynęło za pośrednictwem p. Drowy Tomaszewskiej z miasta Śmigla na r. 1902:

PP. Józefowa Abt 1 M., Biała 1,50 M., Drotkowska 1 M., Gierlińska 50 fen., Hoelzer 2 M., Kroszkowska 1 M., Kurczewska 2 M., Liszewska 1,50 M., Łabińska 1 M., Janowa Lepkowicz 50 fen., Julianowa Lepkowicz 50 fen., Łukomska 3 M., Józefowa Matuszewska 50 fen., Michałowa Matuszewska 2 M., Teofila Niché 3 M., Helena Tomaszewska 6 M., Witaszek 3 M., Wojciechowska 1 M., Zehr 10 M., Ziorkowska 50 fen., Brownsford z Białcza 3 M., Ks. prob. Wiśniewski z Czacza 3 M. Nadzwyczajna składka 7,50 M. Razem 55 M.

Dotąd odebraliśmy razem na ten cel 44 M. 25 fen. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

*M. Stasińska*, skarbniczka.

— **Kupno**. P. Krajnik ze Sarnówka, właściciel dóbr sarnowskich, kupił posiadłość Wierzchy, w pow. świeckim, z folwarkami, około 3800 mórg, od rotmistrza pozasłużbowego p. Funka Niemca. Z tego zaś majątku odkupił zaraz od p Krajnika za 350,000 marek 2000 mórg, w tem około 120 mórg lasu, dla syna swego Kaźmierza p. Wojnowski z Gzik, ogólnie szanowany obywatel i znakomity rolnik Prus Zachodnich, który każdemu z synów swoich kupuje po kolei większe majątki ziemskie.

**Komisya kolonizacyjna** zakupiła majętność Berlinek w powiecie świeckim, od firmy Benno Tilsiter z Bydgoszczy. Berlinek nabyła swego czasu wspomniana firma na parcelacyę.

† **Z Kościerzyn** Umarł tutaj w 73-cim r. życia ś. p. **Leon Lniski**, obywatel znany na całych Kaszubach.

Zmarły był skromnym człowiekiem a wielkim patryotą, któremu pod względem uświadomienia narodowego Kaszuby a zwłaszcza powiat kartuzki, bardzo wiele mają do zawdzięczenia.

Przez długi szereg lat mąż ten stał na czele Komitetu wyborczego kartuzkiego i brał czynny udział w ruchu narodowym, stawając wszędzie tam, gdzie nie każdy chciał i mógł stawać.

On zwoływał wiece wyborcze, na które lokalów odmawiano — nieraz w stodołach, on starał się o mówców, on wzywał posłów do przybycia

S. p. Leon Lniski zajmował się oświatą ludu, zakładał w trudnych warunkach czytelnie ludowe, jako delegat Tow. Czytelni ludowych zbierał składki. Dalej widzimy go krzątającego się około Tow. Pomocy Naukowej, około Towarzystw ludowych, widzimy go, jak, chociaż schorowany, dąży czy to na zebranie, czy na zjazdy delegatów — słowem, widzimy go wszędzie tam, gdzie jego rada i pomoc mogła coś zdziałać dla sprawy narodowej. A nie był to żaden wielki magnat, lecz skromny rolnik, pracujący ciężko na łanie ojczystym, o którym śmiało można powiedzieć: „jam nie z soli ani z roli, ale z tego, co mnie boli.“

Rodzina zmarłego zawdzięcza wiele jego pracowitości. Wychował godziwie i po bożemu dzieci, którym dał podwaliny bytu, świecąc zarazem dobrym przykładem i cnotami.

Ś. p. Leon Ostoja Lniski urodził się w Dolnej Brodnicy na Kaszubach 1830 r., na tej ziemi kaszubskiej, którą tak bardzo ukochał, wzrósł, dla niej pracował przez całe swe długie życie rzetelnie i godziwie. To też zgon tego męża cichego i skromnego wywołał wśród polskiego ludu na Kaszubach serdeczny żal, spowodował także wielką szczerbę, którą oby wyrównać zechcieli jego synowie i wnukowie, tak w Kartuzkiem, jak w Kościerskiem. Cześć jego zacnej pamięci!

— **Donoszą nam z Berlina**, że pan Tadeusz Jan Wczele-Grabski, syn b. posła naszego Józefa Grabskiego ze Skotnik na Kujawach, promował na doktora obojga prawa.

— **Kraków**. Artyści teatru krakowskiego zawiązali stowarzyszenie pod nazwą „Czytelnia teatru miejskiego w Krakowie“. Celem tego stowarzyszenia jest ułatwianie członkom teatru krakowskiego sposobności zapoznawania się z całym ruchem literackim.

Z tego powodu udajemy się z prośbą do szanownych panów wydawców i redaktorów pism codziennych jako też peryodycznych o łaskawe nadsyłanie nam swoich wydawnictw bezinteresownie.

Odwołujemy się również do wszystkich szanownych właścicieli bibliotek, prosząc ich o zaofiarowanie do naszej czytelni duplikatów. Z poważaniem

*Zarząd czytelni.*

*Adolf Walewski.*

Adres: „Czytelnia teatru miejskiego w Krakowie“ Kraków, ulica Niecała 9.

**Znin**. Na odbudowanie wieży kościoła parafialnego w Żninie złożyli w dalszym ciągu: pp. P. Milewska z Żnina, J. Wieczorek z Cegielni po 1 M., M. Romel z Sobiejuch, F. Kosmowski z Janikowa, M., Brzykcy z Żędowa, A. Kubicki z Ochodzy, F. Sobczak z Gogułkowa, F. Hahn z Sobiejuch, J. Joachimowska z Żnina po 3 M., J. Kujawa z Pod górzyna 5 M., zebrane przez T. Maciejewskiego z Pniew p. Barcin 13 M., zebrane przez W. Ziemniewicza z Jarocina 6,50 M., F. Zblewski i J. Mazurczak z Bydgoszczy po 1 M. NN. z Lidzbarka 50 fen. A. Flemming z Clauen w Hanowerze, T. Lewandowski z Brzyskorzytwy, Złotowski z Bydgoszczy, J. Bawolski z Gogółki po 3 M. NN. z Jaroszewa 6 M., zebrane przez J. Wieczorka z z Raszkówka 4,50 M., J. i A. Cyrakowie z Jaroszewa 10 M. M. Guzikowska i Brzozowscy z Rakoniewic 5 M. M. Cibsielski z Gniezna 1 M. W. Mikołajczak z Inowrocławia i J. Dutkiewicz z Żnina po 2 M. A. Dębna z Żnina 3 M. J. i P. Mądrowscy z Młynkowa 7 M. zebrane przez A. Bajońskiego ze Środy 11,20 M. zebrane przez, P. Mataczyńskiego z Górek Zagajnych 15,15 marek, A. Mazurek z Pińska i J. Strzałkowski z Srebrnogóry po 3 M. J. Dyk z Srebrnogóry 2 M, zebrane przez Smogóra z Brzezna p. Zelice 24,95 M. A. Gęsikowska z Torunia 1 M. J. Marczak z Górek Zagajnych 2 M. M. Bryferyński i J. Walkowski z Brzyskorzystwy po 3 M. NN. 5. M. Bieliński i Kosnowski z Gozdawy p. Mogilno 8,50 M., zebrane przez Mądrowskiego w Młynkowie 12,30 M. M. Bauza z Podgórzyna 4 M., zebrane przez A. Jeżakowską z Wir p. Poznaniem 6,25 M. J. Gajewska z Chicago 3 M. NN. z Inowrocławia 1 M., zebrane przez J. Tomasa na weselu u M. Słomkowskiego w Sarbinowie 38 M. J. Przybyszewski z Gniezna 4 M. zebrane na chrzcinach przez A. Hulisza w Kray p. Essen. 5 M., zebrane przez G. Lubierską z Poznania 4 M., od mężów różańca żywego w Bottrop w Westfalii 10 M. S. Pfitzner z Poznania 5 M. M Grochowalski z Gulczewa p. Kłecko i Cz. Wichrowski z Główny po 3 M. pewna osoba z parafii Żnińskiej 100 M., zebrane przez P Marcinkowskiego z Wierzonki p. Kobelnicą 7 M. J Chudziński z Gostynia 2 M. Z. Dutkiewicz z Sremu 1 M. J. Pankowiak z Żnina 3 M. A. Chojnacki z Poznania 1 M. NN. z Borzykowa p. Miłosław. 5 M. Zagierska z Granowa 3 M.

*X. Władysław Jasiński*,
administrator.

## *Zmarli.*

† **S. p Ludwik Osowski** w Fabianowie pod Poznaniem, dnia 28-go z. m. i r., przeżywszy lat 73.

† **S. p Witold Błocisewski** w Poznaniu, dnia 28-go z. m. i r. w 25 roku życia.

† **S p dr Władysław Prądzyński** w Gnieźnie, dnia 25-go z. m. i r., przeżywszy lat 36.

† **S. p. Antoni Hubert** w Sielcach dnia 28-go z. m. i r. w 77 roku życia.

† **S. p. Alina Korybut-Daszkiewiczówna** w Poznaniu na Wildzie, dnia 30-go z. m. i r. w 50 roku życia.

† **S. p. Jadwiga Zalewska**, córka ś. p. Wincentego Zalewskiego i Eugenii z Chłapowskich, w Ostrowie dnia 29-go z. m. i r. w 36 roku życia.

† **S. p. Ewa z Krzynkowskich Rochon** dnia 29-go z. m. i r. w Gnieźnie w 83-im roku życia.

† **S. p. Kacper Gorczewski** dnia 31-go z. m. i r. w Poznaniu.

† **S. p. Nepomucena z D.skiewiczów Niklewicz** dnia 1-go b. m. w Poznaniu (na Jeżycach) w 53 roku życia.

**S. p. Salomea z Ostaszewskich Kręglewska** dnia 1 b. m. w Wągrówcu, przeżywszy 85 lat.

## Ruch w Towarzystwach.

— **Żnin.** Na ogólne życzenie odegrany będzie w niedzielę, dnia 11-go stycznia godz. 7 wieczorem: „Żłóbek“, — przedstawienie sceniczne na uroczystość Bożego Narodzenia po cenach zniżonych. Zaproszeń osobnych nie wysela się. O liczny udział uprasza Zarząd Koła śpiewackiego.

Zarząd.

— **Gostyń.** Walne Zebranie Towarzystwa Przemysłowego odbędzie się w niedzielę 11-go stycznia 1903, w lokalu pana Kaliksta Jankiewicza.

Początek o godzinie 8 wieczorem.

— **Wrocław.** Zapraszamy niniejszem Szan. Członków Towarzystwa Polsko-Katolickiego na walne posiedzenie w niedzielę wieczór, d. 11 b. m., o g. 6 do lokalu naszych posiedzeń. Ponieważ są ważne sprawy do załatwienia, przeto przybycie każdego członka bezwarunkowo jest pożądane. Goście mile widziani.

Zarząd.

## Wiadomości literackie.

**„Bolesław I. i Oton III. w Gnieźnie.** Obrazek historyczny podług Jana Długosza wydał K. Kozłowski Poznań. Czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha 1903.“

Pod powyższym tytułem wyszła świeżo z pod prasy zajmująca książeczka, opisująca obszernie przybycie Ottona III. do Gniezna i przyjęcie go przez Bolesława I. podług Jana Długosza, nazwanego ojcem naszej historyi rodzinnej, żyjącego w początku XV wieku. Książeczka ta powinna być wszędzie, mianowicie powinny się w nią zaopatrzyć wszelkie biblioteczki ludowe.



## Od Redakcyi.

*Pani M. W. w Chełmnie.* — Udaj się Pani w sprawie ogłoszeń do gazet galicyjskich do biura anonsów „Réclame“ w Poznaniu, ul. Piekary (Bäckerstrasse). Co do drugiej sprawy, to udaj się Pani do Redakcyi „Nowej Reformy“ w Krakowie po informacye, my miejsca zamieszkania pana Jana Rudnickiego nie znamy.

*O. Wattenscheid.* — Jeżeli policya uzna za stosowne może książkę zabrać a nawet ukarać właściciela i zadenuncyować wydawcę.

*I. F. Wattenscheid.* — Dziękujemy za życzenia i wyrazy uznania. Z naszej strony przesełamy serdeczne życzenia Nowego Roku i prosimy o pamięć. Może będzie Pan mógł przysłać nam numer tego pisma

*Panu M. w Gnieźnie.* — Akademia szewska jest w Lipsku, a szkoły wyższe dla szewców są w Berlinie.

*Panu H. S. w W.* — Rym jest, rytm jest, ale sensu nawet za pół grosza nie ma.

*Pani E. W. w Gnieźnie.* — Krawcowa damska, ale tylko uzdolniona i nadzwyczaj biegła, pożądaną by była w Poznaniu, gdyż takich krawczyń mamy tutaj za mało. Co do prowincyi, to zechcą nam Szanowne Czytelniczki donieść pod powyższym adresem, gdzieby się z korzyścią osiedlić mogła krawcowa damska?

*Eresowi w Ostrowie.* — Dziękujemy — zamieszczamy.

*Panu Janowi Syp. w Krakowie,* — Wiersza nam nadesłanego p. t.: „Miejmy nadzieję“ nie zamieściliśmy, gdyż już go drukowaliśmy w jednym z poprzednich roczników „Pracy.“

*Młodemu noweliście.* — Do napisania nowelki potrzeba prócz papieru, pióra i atramentu w pierwszym rzędzie talentu, a tego w nadesłancj nam nowelce wcale dopatrzyć się nie mogliśmy.

*Silesius.* — Rzecz zawiera kilka ciekawych refleksyi. Zużytkujemy w następnym numerze. Dziękujemy i prosimy o pamięć na przyszłość.



## Wesoły kącik.

*Gość* (z prowincyi): Proszę o obiad na dwie osoby.

*Kelner:* „Table d'hote“ czy „a la carte?“

*Gość:* Tego trochę i tego trochę, a przedtem wazę rosołu.

*Edzio:* Czy krzywoprzysięstwo to wielki grzech?

*Ojciec:* Straszny grzech, moje dziecko.

*Edzio:* A kazać komu kłamać?

*Ojciec:* Naturalnie, także.

*Edzio:* A pan nauczyciel dzisiaj mi kazał...

*Ojciec:* Co? Kazał ci kłamać?

*Edzio:* Tak! Kazał mi obiecać, że zawsze będę grzeczny.

*Młodszy brat* (do narzeczonego siostry): Mama mówi, że pan weźmie sobie moją siostrę!

*Narzeczony:* Tak, za parę tygodni będzie twoja siostra mieszkać w moim domu i mój papa i moja mama będzie jej papą i jej mamą.

*Mł. brat:* To ona zostanie pańską siostrą tak jak była moją; niech jej pan tylko nie robi na złość, bo jak jej pan będzie dokuczał, to jak mama nie będzie patrzeć, wybije pana... ja ją znam!

### Recepta dla zalotników.

Dwa albo trzy umizgi, dwa lub trzy [obiady,
Dwie lub trzy pod oknami dane serenady,
Dwa lub trzy z cukierkami pudełeczka [małe,
Dwie albo trzy przysięgi, chociaż krótko [trwałe,
Dwie albo trzy zabawy, na których są [tańce,
Dwa albo trzy codziennie wysłani posłańce,
Dwa albo trzy bilety na cienkim papierze,
Dwie albo trzy godziny w loży na operze,
Dwie lub trzy na przechadzkach sło- [dziuchne rozmowy,
Dwa lub trzy wierszem listy miłosnej [osnowy;
Dwa albo trzy miesiące to czynić należy,
A każdy, czy to stary, czy młody uwierzy,
Że jeżli to *recipe* kogo nie utrudzi,
Niezawodnie połączy dwoję młodych lu- [dzi.

### O rachunku sumienia.

Pewny ilekroć chciał się swych grzechów [spowiadać,
Miał zwyczaj żonę pięściami okładać. —
Spytany o przyczynę od przyjaciół [swoich:
„Mam, rzecze, słabą pamięć i przypo- [mnieć moich
Grzechów sobie nie mogę: ta zaś gdy [pięść czuje,
Jak z rejestru me wszystkie występki [rachuje.“

Nr. 2.

Rok VII.

PRACA

Dodatek Powieściowy.

# Turcy w Górnym Szląsku.

Powieść prawdziwa z drugiej połowy XVIII wieku.

2) Napisał *Józef Lompa*.

(Ciąg dalszy).

— Napełnione nienawiścią ku miejskiemu duchowieństwu, przechodziło grono magistratualne obok kopalni na srebro. Napotkawszy tamże plebana Piotra, wywiadującego się w swej niewinności i prostocie u cechmistrza Wojciecha Pełkowickiego, pomiędzy innemi zapytaniami i o to: ile też rocznie kopalnie zysku przynoszą? — Nie dziw więc, że z tego surowe i grube wyrazy nastąpiły; żeby zaś nawet i gorsze wypadki nie nastąpiły, kazał burmistrz w swej zapalczywości katowi, ująć plebana i wrzucić go do najgłębszego szybu; coby się też może raptem było stało, gdyby szczęśliwym trafunkiem w tej chwili nie były inne osoby nadeszły. Powolnym czwałem zbliżali się konno Wincenty proboszcz z Chrzanowa i czcigodny X. Jacek z Rozbarku. Obydwaj powracali z Miechowskiego lasu, gdzie miejsca na wyrąbanie i wytrzebienie boru, w zamiarze wystawienia kościoła i folwarku upatrywali. Pełen świętej gorliwości, wystąpił X. Jacek pomiędzy burmistrza i plebana, kazał plebanowi na swego konia siadać i z miejsca się oddalić. Stanąwszy potem na jednym hałdzie wydobytej ziemi, wołał o zemstę do nieba nad bezecnym zuchwalcem, który się poważył, rękę swoją na pomazańca bożego włożyć.

— Zdało się poniekąd, jak gdyby umysły zgromadzonych, po oddaleniu plebana, uspokojone były, lecz burmistrz, wziąwszy mianowanego cechmistrza w ostre przesłuchy, coby z nim pleban rozmawiał, zadumiony a raczej odurzony opowiadał tenże radcom, czego się ów wywiadywał. Zapalił się na nowo gniew całego ciała magistratualnego, sądzącego, że pleban rzeczywiście dziesięciny z kruszcy srebrnych domagać się będzie.

— „Nie! na to nigdy i póki świat światem, nie zezwolimy!‟ krzyczeli wszyscy jednym głosem, każdy bowiem myślał o swej części w udziale, i nie chciał się dać plebanowi w nim uszczuplić. Powróciwszy na ratusz, obrali ze swego grona deputacyą, mającą się udać do księcia Oleśnickiego. Ten zezwalając chętnie na ich wniosek, uczynił więcej, aniżeli oni sami żądali. Kazał on plebanii dwie włóki roli (jedna po 30 morg), stanowiącej całą jej posiadłość, zabrać i pewnemu młynarzowi w dzierżawę puścić, nakazując zarazem mieszczanom: żeby zamiast do farnego kościoła, do św. Małgorzaty na nabożeństwo chodzili i tam swoje czynsze oddawali. Większa część obywateli uczęszczała już przed tem na nabożeństwo do św. Małgorzaty; lecz teraz wszyscy tam się udali. Pleban miejski użalał się nad tem u księcia Cieszyńskiego, ten zaś kazał, ażeby plebana w dawnych jego przywilejach zachowywano. Ci atoli na to bynajmniej nieuważając, zwłaszcza, że wkrótce po tem książę Przemysław wiek doczesny zakończył, drwili się z nakazu. Czcigodny ks. Jacek był jedynym, co się za uciemiężonym plebanem ujmował i przynajmniej Rozbarczanów utrzymał, że mu podatki dawali. Za jego radą przyjął pleban Piotr wikarego, imieniem Mikołaja z Pyskowic za swego pomocnika i zastępcę, zaczem się on do Rzymu udał, ażeby tamże sprawiedliwości szukał. Znalazłszy ją, powrócił po upływie dwóch lat, i po różnych trudach i niewygodach, szczęśliwie do Bytomia.

„Ks. wikary miewał z początku gorliwe kazanie w farnym kościele; mimo tego zamożniejsze familie i członkowie magistratu nie sprzyjali jemu. Wykładając opacznie jego chrześciańskie napomnienia, i uważając takie za osobiste napaści, dopięli tego, że kościół został zamknięty. Mikołaj zmuszony był odprawiać nabożeństwo w kościółku na Rozbarku. Ks. Jacek udał się tymczasem do Krakowa, przemawiając tam przed członkami akademii za plebanem Bytomskim, ale nic nie wskórał; poczem puścił się w sprawach swego kaznodziejskiego zakonu do Prus, Pomorza, Szwecyi, Norwegii i Danii. Pleban Piotr powróciwszy z Rzymu, znalazł kościół zamkniony, plebanią bardzo spustoszoną i całą władzę miejską przeciw sobie jeszcze więcej oburzoną. Nieprzyjaciele jego uważali podróż do Rzymu za zbrodnię. Tymczasem wszedł proboszcz św. Małgorzaty z gwardyanem Minorytów, ojcem Sylwestrem w przymierze, a zarazem i z proboszczem Wawrzyńcem w Chorzowie, zawiadującym kościołem św. Ducha w Bytomiu. Tym udało się pozyskać obywateli Bytomskich tem łatwiej dla siebie, że tam mniej opłacając, każdej godziny nabożeństwo odprawiać mogli.

„Skoro pleban Piotr list papiezki magistratowi przesłał, drzwi do kościoła swego otworzył, i przed niemi kraty żelazne położyć kazał, żeby tam czarny dobytek z cielętami, również króliki, psy, koty itp. nie przechodziły, zdarzyła się tem snadniej OO. Wincentynom sposobność, gminę Bytomską od jej kościoła odprowadzić. Z wieży ratuszowej zabrzmiał głośno dzwonek do szturmu wołający. Radzcy zbiegali się śpiesznie do sali posiedzenia, cechy rzeźników, tkaczy, kowali i krawców schodziły się na rynku, i stawiając straże przy bramach i po wieżach murów miejskich, stali pod bronią, jak gdyby się dzikie hordy Tatarów zbliżały. A tu nic więcej nie było, jak dwóch nieuzbrojonych kapłanów, przeciw którym się tak silnie zbierano. Zgromadzona miejska rada posłała chorążego miasta, Klukowieckiego i sługę miejskiego Kaczynkę, ażeby plebana i kapelana przed stolicę ich sądową dostawili. — Stało się tak, obok owoczesnych rozmaitych okoliczności. Pleban rzekł do kapelana: „Bracie w Chrystusie: weźmij Przenajświętsze ciało Zbawiciela naszego, może uczczą w niem Syna Bożego i w tem się uspokoją.‟ Uczynił tak kapelan,

a przynosząc Przenajświętsze ciało w monstrancyi, gotów był udać się z plebanem na ratusz. Tymczasem jednak wysłał pleban zakrystyana w miasto na wywiady, a ten powróciwszy nazad, złożył sprawozdanie w tej treści: że wszystkie bramy zamknięte stały.

„Pleban udał się śpiesznie do piwnicy swego pomieszkania, odsunął w kącie stojącą beczkę na stronę, podźwignął drzwi zapadające, wchód do pomienionego już podziemnego ganku, który w lewo ku Glewickiej bramie obok lasku Gaj prowadził. Postrach uskrzydlał jego kroki; wkrótce pobłądziwszy uderzył głową o sterczący filar, upadł na ziemię, utraciwszy przytomność swych zmysłów. — W tym stanie znalazł go proboszcz Anzelm od św. Małgorzaty, przychodzący tym samym chodnikiem, pełen oczekiwania na wiadome mu już zdarzenia, niosąc w lewej ręce rogową latarnię. Widząc brata swego duchownego w tym politowania godnym stanie leżącego, chciał już skłonności do współczucia ustąpić, i zabłąkanego kapłana z labiryntowych pieczar wyprowadzić. Lecz nagle i z hałasem zbliżali się goniący plebana mieszczanie Mokara i Płotnica, ścigający światełko w latarni proboszcza. Bez miłosierdzia; ująwszy biednego plebana powiązali go w grube powrozy, a wlokąc go aż do piwnicy burmistrza, wywiedli go jako podłego złoczyńcę na ratusz.

„Zmiana powietrza obudziła umierające życie kapłana, ale na jakież to straszliwe widowisko? Posępnie poglądały na niego czarne mury ratusza, a ciemniej jeszcze gniew ze zagorzałej twarzy burmistrza i jego uzbrojonej drużyny, która pęta plebana jeszcze mocniej ściągała. Drżąc po wszystkich członkach, obejrzał się w około, a oto! na boku leżał w powrozy łykowe skrępowany także wierny jego towarzysz kapelan Mikołaj, mający usta chustką zatkane i prawie już bliski zaduszenia. — Silny w umyśle swego obowiązku, przemówił pleban z mocnem zaufaniem na pomoc boską, lecz go nie słuchano. Za radą chciwego proboszcza Anzelma, sprowadzono na ratusz skrzynię z zakrystyi farnego kościoła wraz z jego przywilejami. Pleban Piotr w sprawiedliwem uniesieniu gniewu swego, wyrzekł klątwę na sprawców tego zburzenia i na całą władzę miejską. Z wrzaskiem przerwano jego mowę i zatkano mu usta. Słowa jego wywołały wielkie przerażenie pomiędzy obecnymi. Proboszcz Anzelm posłał czemprędzej po gwardyana OO. Minorytów, a ten wyłożył klątwę za nieważną, ponieważ jej pleban po trzykroć słowem Amen nie potwierdził. — Nie bójcie się — dodał, — my Minoryci nie poważamy dóbr doczesnych, my nie mamy nic do stracenia, my też przeto wam nigdy w naszym kościele zaprzeczać nie będziemy. Wy nie potrzebujecie nam podatków płacić, ani dziesięcin z kruszców srebrnych dawać.

— Z ogromnym krzykiem chwalił magistrat z pospólstwem tę mowę. W tym samym momencie zgłosił się Grzegorz Górecki starszy z przedmieścia Rozbarskiego, prosząc o niezwłoczne posłuchanie. Wstąpiwszy do sali posiedzenia przemówił temi słowy: — Zacni panowie! my Rozbarczanie, jako wierni poddani miłościwego Pana naszego, książęcia na Koźlu, nie bierzemy żadnego udziału w waszych gwałtownościach, jakich wy się dopuszczacie, obchodząc się tak surowo i nieludzko z naszymi księżmi; a jeżeli ich natychmiast nie wypuścicie, to my ich rękami naszemi wyzwolimy. — W niewymownej złości skoczył burmistrz i wyrzucił Góreckiego na sień, krzycząc: — Wy Rozbarscy chłopi! wy nam chcecie prawa przepisywać? Precz ztąd. — Proboszcz Anzelm łagodził zajątrzonego Góreckiego przymilającemi słowy, i starał się by go uspokoić. Górecki ustąpił. — W godzinę później zgromadziło się kilka set mieszkańców Rozbarskich około kościoła ś. Ducha, mających rozmaite narzędzia, wskazujące na jakąś zaciętą walkę. Tymczasem zamknęli Bytomianie bramy miasta. Magistrat osądził swych duchownych pasterzy na śmierć. Wyprowadzono ich glewicką bramą do stawu ś. Małgorzaty, i niedając im czasu do zmówienia pacierza, wrzucono obydwóch, jako niewinne ofiary, do wody. Pleban utonął natychmiast, kapelan po chwili za nim.

— Rozchodziło się już mnóstwo ludu. Radzca Wojtacha, na samym ostatku idący, obejrzał się nazad a widząc, że się kapelan Mikołaj powoli z wody wydobywał, zawołał: — patrzajcie! jeden wyłazi! — Niezwłocznie powrócił gmin nazad i kat ujął kapłana, z którego dziwnym sposobem pęta były opadły. Nieszczęśliwy ksiądz prosił nadaremnie, żeby mu życie jego zachowano. Kat powiązał kapelana w powrozy i wrzucił go powtórnie do stawu. W strachu śmierci zerwał kapelan znowu pęta i walczył w rozpaczy z nurtami. Bezecny kat wciskał go bezskutecznie na dół, nareszcie ciął go trzy razy toporem w ramiona i w ciemię, i wtedy ciężko raniony utonął. —

— Widok krwi ochłodził zajadliwość tłumu. Złe sumienie zaczęło się odzywać. W tem nadchodził Ojciec Jacek z Rozbarczanami. Ledwo że ci zbrodnię ujrzeli, zaczęli przeraźliwemi głosami narzekać i hurmem na mieszczanów nacierać, lecz kiwnąwszy na nich Jacek rzekł: — Ustępujcie od tych zaklętych. Ratujcie w krwi swej kąpiącego się baranka! Jakoby zaczarowane, uspokoiły się umysły Rozbarczanów. Górecki zaś i wójt Michał Kozłowski i przysięgły Kneflikowski, nieśli skaleczonego księdza na folwark Góreckiego, a za nimi postępowali w gorzkim płaczu i narzekaniu poczciwi i dobroduszni Rozbarczanie. — Na miejscu zbrodni panowała głucha cisza. Nikt nie ważył się słówka przemówić. A oto przeleciało nieprzeliczone stado srok i robiło przeraźliwy wrzask. Z probostwa ś. Małgorzaty, na ówczas w około murem i wodą opasanego, widziano wylatującą olbrzymią sowę, za którą sroki ścigały. Jacek chciał prawie przemowę do ludu zacząć, gdy mu w tem wrzask ptastwa przeszkadzał. Zawołał wtedy uroczyście: — Uchodźcie na zawsze z tej okolicy! — A oto w okamgnieniu uciekły sroki i już się od owego czasu żadne około Bytomia nie pokazują.

Na to odezwał się organista z Kamienia. — Zaprawdę dziwna to jest rzecz, że w okolicy Bytomia nie uwidzi się nigdy ani jednej sroki. Ja zaś za młodu w klasztorze Reformatów w Wieluniu obowiązki organisty przez dwa lata pełniąc, widziałem na tamtejszych kamieniach wmurowane mniejsze i większe kamienie, przedstawiające w kółko zwinione węże. Dopytując się, coby te znaczyły, powiadano mi: że w tamtejszej okolicy było wielkie mnóstwo jadowitych wężów. Gdy tam ś. Wojciech w podróży swej do Gniezna, wezwany od króla Bolesława Chrobrego, przechodził i jednemu wężowi na łeb nastąpił, zaraz wąż skamieniał, co się też wszystkim innym gadom o mile w obwodzie stało, tak że od owego czasu nie masz tam żywych wężów, i tylko kamienne w wyłomach skalnych od czasu do czasu wydobywane bywają.

Młynarz z Brzozowic przerwał mowę temi słowy: — Może to być prawda, bo ja i to już od kilkunastu lat uważałem: że, ile dni żaby przed świętym Wojciechem zakwakają, tyle dni po nim milczeć muszą i pysków otworzyć nie mogą. Powiadają bowiem: że gdy żaby przechodzącemu św. Wojciechowi, jako Apostołowi Węgrów, Polaków i Prusaków, w kazaniu jego przeszkadzały, on im milczeć kazał.

„Ale! poczekajcież mój sąsiedzie, rzekł młynarz z Przełajki, a dyć przecię raz o tym naszym Bytomiu skończyć trzeba.“ Na to organista z Czeladzi ciągnął dalej swe opowiadanie: „Ojciec Jacek obróciwszy się do drżącego ludu, mówił:

„„Słuchajcie i pamiętajcie sobie, co wam opowiadam. Kruszce śrebrne odwróciły serca wasze od Boga i otwarły one światowej mamonie. Jesteście majętni, ale staliście się panowania chciwymi, a zatem i okrutnikami; dlatego to błogosławieństwo Opatrzności Boskiej zniknie wam, i dopiero wtedy się zaś pojawi, kiedy wszelkie pokolenie wasze zupełnie wygaśnie! Zaprawdy! chociażby się na koniec po upływie kilku wieków, zdrój podziemnego błogosławieństwa miał otworzyć, już szlachetne śrebro nigdy w murach waszego klątwą obciążonego miasta z kopalni waszych nie zabłyśnie. Przyjdzie też i do tego, że potomkowie wasi usiłować się będą z wydobywania mniej szlachetnych kruszcy nagrodę za utratę uzyskać; ale wierzajcie mojej przepowiedni! nigdy im się nie poszczęści, żeby owoców swej pracy bez uszczerbku sami zrywali; będą je bowiem musieli z obcemi przychodniami podzielać, a i to nawet będzie następstwem klątwy, którą popełniony szkaradny wasz uczynek na głowy wasze sprowadził. Przyjmujcie sprawiedliwą karę Boga Wszechmogącego, na was, na dzieci i prawnuki wasze wyrzeczoną! Upamiętajcie się w pokorze i czyńcie pokutę! Nauczcie się pogardzać doczesnemi dobrami, a zbierać sobie skarby, których rdza ani mól nie psuje, ani złodzieje nie kradną, a zbierajcie te skarby dla zbawienia nieśmiertelnych dusz waszych, ażebyście na sądzie pańskim, pokutą oczyszczeni, przed tronem Boskim stanąć mogli, a Ojciec wasz niebieski zlituje się nad wami i okaże wam nieograniczone miłosierdzie swoje!“‘‘

(Ciąg dalszy nastąpi.)

# MĘCZENNICA W KORONIE.

## POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

40) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

—:—

(Ciąg dalszy.)

Czytając to, co napisała, zaczęła Rozalia znowu gorzko płakać.

— Nic nie pomoże! — pomyślała w końcu, — tak być musi!

Potem zarzuciła swój stary, znoszony płaszczyk i zawiązała na włosach ciemną chustkę.

— Biedny ojciec! — szepnęła, — on mnie kochał, i śmierć moja zmartwi go bardzo! Wróci wnet do domu, będzie mnie szukał, a ja — idę śmierci szukać!

I teraz, nie namyślając się już dłużej, wybiegła na ulicę.

Na dworze padał drobny deszcz, z każdą jednak minutą nieomal zwiększały się krople i niedługo spadła gwałtowna ulewa, jak gdyby się chmury były oberwały.

Rozalia była przemoczoną do suchej nitki, ale nie zważała na to. Biegła szybko naprzód, nie wiedząc nawet, w jakim kierunku — ciemno było na ulicach, i przechodni nie wiele.

Instynktem wiedziona, zwróciła się ku rzece i wkrótce stanęła na moście.

Była to najbrzydsza część miasta, zamieszkała przez najbiedniejszych ludzi, tak, że trudno było uwierzyć, aby w tym świetnym Paryżu mogła istnieć podobna dzielnica.

Nieliczni przechodnie zatrzymywali się koło Rozalii i rzucali jej w twarz najohydniejsze słowa, wyszydzając jej kalectwo. Biedna dziewczyna milczała, drżąc z strachu, ale pocieszała się tem, że za chwilę przestanie znosić wszelkie obelgi i upokorzenia!

— Ach, jakie to życie brzydkie, — myślała, patrząc w wodę, — nie można doprawdy mówić o jakiejś ofierze, porzucając świat! Nie traci się nic na tem, a zyskuje wiele.

Ale słowami temi chciała sobie dodać tylko odwagi, chciała się okłamać, bo śmierć przerażała ją okropnie i wydawała jej się czemś najstraszliwszem na świecie!

I patrzała ciągle we wodę, ciemną, zagadkową.....

Co się z nią stanie, gdy się rzuci w mętne fale?

Woda wyrzuci ją jeszcze raz lub dwa, a tam stoją robotnicy nad brzegiem i — wyratują tonącą!

Ach, tylko nie to! Tylko nie być ocaloną w ostatniej chwili! Zaprowadzono by ją na policyą,musiałaby odpowiadać na setki pytań i musiałaby na nowo szukać śmierci i przechodzić te chwile okropne.....

Nie, tutaj nie mogła wykonać swego zamiaru!

I postanowiła wyszukać innego sposobu pożegnania świata.

Nieszczęśliwa dziewczyna szła dalej, a myśli jej wracały mimowoli ku domowi. Co robi teraz ojciec? Zapewne czyta list jej — Fanchon także, i oboje płaczą głośno. Zdawało jej się, że w szumie deszczu słyszy wyraźnie rozpaczliwe wołanie ojca:

— Czemuś to uczyniła, dziecko moje drogie! Czemu mam być jeszcze nieszczęśliwszym, niż byłem dotąd? Nie pomyślałaś o tem, że zmartwisz matkę twoją w grobie.....

Matkę!

Ach, gdyby była miała matkę, któraby ją umiała pocieszyć, ukoić jej cierpienia! Matki, to anioły stróże, czuwające nad dziećmi, ale Rozalia nie miała takiego Anioła Stróża!

Nawet na grobie jej nie mogła się pomodlić!

— Ale teraz będę wnet przy tobie, matko moja, — szepnęła, idąc wzdłuż rzeki, — otwórz ramiona na moje przyjęcie! O jak błogo mi będzie w twoich objęciach!

Rozalia oddalała się coraz to więcej od miasta, domy stały tu już tylko pojedyńczo, a cała okolica miała charakter więcej wiejski niż miejski.

Małe, ładne wille leżały po obydwóch stronach drogi, a szerokie łąki, zamienione teraz w prawdziwe bagna, ciągnęły się za ogródkami aż do rzeki.

Rozalia zwróciła się teraz na główną drogę.

Nie skręcała ani na prawo, ani na lewo — wiedziała dokąd idzie, czego szuka i co tam znaleźć musi, a cała jej uwaga skierowana tylko była na jeden dźwięk, którego usłyszeć pragnęła — na świst lokomotywy!

Zamiarem jej było: rzucić się na szyny i szukać śmierci pod kołami przejeżdżającego pociągu.

Tutaj nikt jej uratować nie mógł.

Z wody można tonącego wyciągnąć, wisielcowi można sznur w ostatniej chwili przeciąć, kula nie zawsze trafia celu, trucizna może być z żołądka wypumpowaną i na każdy rodzaj trucizny są środki przeciwdziałające — ale kto się rzuci pod koła pociągu — tego śmierć nie minie, i męczarni też nie ma długich.

Rozalia drżała z strachu, ale szła dalej i dalej.

Nareszcie! Deszcz przestał teraz padać i księżyc wypłynął na niebo, a w jasnem świetle jego poznawała wyraźnie dwie błyszczące wstęgi — były to szyny kolei żelaznej.

I tuż przed nią wznosił się słup, a na nim biała tablica z napisem:

— Droga do Passy. Baczność. Szyny kolei żelaznej!

Baczność! Rozalia roześmiała się głośno.

Było to ostatnie słowo, jakiem świat do niej przemawiał, ostatnia rada, ostatni czczy frazes!

Rozalia weszła teraz na tor kolejowy i nagle krzyknęła!

Przed nią stał urzędnik, — zwrotniczy, trzymający czerwoną i zieloną chorągiewkę.

— Jeżeli pani chcesz przejść tor, — zawołał, — śpiesz się, za pięć minut nadjeżdża tu pociąg pospieszny. Bądź pani ostrożną. Idziesz do Passy?

— Tak, — odrzekła Rozalia.

Zwrotniczy poszedł dalej.

Więc pięć minut jeszcze. Pięć minut życia, a potem...

Rozalia upadła na kolana i zaczęła się modlić, prosząc Boga, aby jej przebaczył ten grzech ciężki. Potem myślała o ojcu, o siostrze i o Ryszardzie i z tem imieniem na ustach chciała umrzeć.....

Zdaleka dał się słyszeć głuchy łoskot, szum — i w kierunku Paryża ukazały się dwa małeł światełka...

I już — już zbliżała się śmierć!

Rozalia, dziwnie teraz spokojna, położyła się w poprzek szyn i zamknęła oczy.

Łoskot i szum stawał się coraz to wyraźniejszy.

Nagle. — —

Cóż to? Nad głową nieszczęśliwej rozległ się krzyk głośny, okropny. — —

— Na pomoc! Ratunku! Morderczy!

Rozalia zerwała się i uklękła — jeszcze jeden krzyk, brzęk stłuczonego szkła i powóz jakiś przeleciał tuż koło niej. Woźnica bił konie, jak szalony.

Rozalia spojrzała na woźnicę i poznała go natychmiast.

Był to ten sam człowiek, który w ostatnim czasie tak często przychodził do jej ojca, przed którym Fanchon uciekała i którego Ryszard niedawno za drzwi wyrzucił, jednem słowem był to hrabia Barin!

Pierwszą jej myślą było, położyć się znowu na szyny, ale zaraz potem spostrzegła, że powóz stanął. I teraz krew jej się w żyłach ścięła na widok tego, co się oczom jej przedstawiło.

Powóz stał poprzecznie na szynach, hrabia zeskoczył z kozła, przeciął lejce i silnem uderzeniem bata zmusił konie do zeskoczenia z toru kolejowego, sam zaś cofnął się o kilkanaście kroków i z bezpiecznego ukrycia czekał na nadejście pociągu.

Osoby, zamknięte w powozie były wystawione na nieuniknioną, a okropną śmierć.

Kuryer musiał nadjechać każdej chwili. I rzeczywiście — ziemia zaczęła już drżeć, światła błysnęły, i świst lokomotywy rozległ się w dali. Jeszcze dwie lub trzy minuty. — — —

— Ratunku! ratunku! — wołano z rozpaczą w karecie.

Ale kto miał ich ratować? Jeżeli Bóg się nad nieszczęśliwymi nie zlituje, to pomoc ludzka nic tu nie byłaby mogła poradzić!

Pociąg zbliżał się z przerażającą szybkością — w karecie nie przestawano wołać o ratunek!

ROZDZIAŁ LXIV.

**W łapce.**

Ani Antoni, ani Felicya, ani Mignon nie zauważyli odkręcenia klamek od drzwiczek karety. Wszystko troje było tak wyłącznie zajęte oswobodzeniem Felicyi, że na nic już nie zwracali uwagi.

Dorożka jechała szybko, a że teraz deszcz zaczął padać, przeto okna były tak zamglone, że nic prawie przez szyby widzieć nie było można.

Felicya siedziała milcząca i zamyślona. Wszystko, co się dziś stało, zdawało jej się snem i z obawą myślała o tem, że ten sen musi się raz skończyć! A rzeczywistość była tak okropną!

Wrócić znowu do tego zbrodniarza i oszusta — nigdy! Raczej umrzeć!

Największem szczęściem przejmowała ją pewność, że wkrótce będzie się mogła rzucić do nóg swej ubóstwianej cesarzowej i ucałować jej ręce. I cesarzowa uwierzy jej niewinności!

Wiedziała ona także, że Tyrolczyk uwolnił ją z więzienia nie tylko dla swej wierności i przywiązania jako sługa.

Nie byłaby kobietą, gdyby od dawna już nie była spostrzegła, że on ją uwielbiał, czcił i kochał, jak swój najwyższy i jedyny ideał, jak świętą, ale miłość ta nie obrażała jej wcale. Żal jej było tego poczciwego i dzielnego człowieka, który byłby chętnie życie dla niej oddał, i uważała go nie za sługę, tylko za swego wiernego i najlepszego przyjaciela!

Antoni i Mignon rozmawiali wesoło o swoich dzisiejszych powodzeniach, i nie uważali wcale, dokąd właściwie jadą.

Ale deszcz przestał teraz padać, szyby obeschły i Mignon wyjrzała przez okno.

— Jak długo jedziemy! — zawołała, — podług mego zdania powinniśmy być dawno już na miejscu. Ale cóż to? Nie jesteśmy na Batignolles — tylko już za miastem! Ten dorożkarz nie zna widocznie Paryża!

Antoni zadrżał. Co to miało znaczyć?

— Hej, przyjacielu, — krzyknął na woźnicę, — zatrzymajcie się! Słyszycie? Stój! Stój!

Ale dorożkarz nie zważał na nic. Bił konie nielitościwie batem i pędził jak szalony. Im więcej Antoni krzyczał, tem więcej naglił woźnica konie do biegu.

— Może on głuchy, — szepnęła Felicya.

— Nie! Nie jest też to prostym tylko przypadkiem, odrzekł Antoni. — Na Boga, zdaje mi się, że wpadliśmy w zasadzkę, ale łotr ten omylił się..... Wyskoczę z dorożki i zatrzymam konie!

I wyciągnął rękę przez okno, szukając klamki.....

Daremnie! Klamki nie było.

Równocześnie oznajmiła mu Mignon, że i po drugiej stronie nie ma jej także!

— Siedzimy w łapce, — jęknął Antoni. — Ale bądź spokojną, hrabianko, dopóki ja jestem przy tobie, nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo!

Felicya dziwnem tknięta przeczuciem, wychyliła się z okna i w tejże samej chwili obrócił się dorożkarz. Oczy ich obojga spotkały się.....

Z przerażającym krzykiem upadła Felicya na poduszki karety.

— Co się stało? — zawołał Antoni. — Wyglądasz pani tak, jak gdybyś była jadowitą żmiję ujrzała. Kogo pani zobaczyłaś przez okno?

— Jego — jego samego — złego ducha mego życia.

— Kogo, Boże Wielki, kogo?

— Ramira, czyli Pedra de Branko!

— Więc to on jest dorożkarzem! — szepnął Antoni głucho. — Teraz trzeba się ostrożnie zabrać do dzieła, inaczej jesteśmy wszyscy straceni!

— Ratunku! Ratunku! Mordercy! — krzyknęła Felicya, załamując ręce.

Te krzyki Felicyi usłyszała Rozalia, leżąca na szynach i oczekująca śmierci!

Antoni rzucił się na drzwiczki, chcąc je wyłamać, ale zdołał tylko stłuc szybę, drzwi oparły się jego pięściom! Mignon będąc małą i szczupłą byłaby się może przez okno przecisnęła, ale cóż to mogło pomódz? W szalonym pędzie byłoby się dziecko bezwarunkowo zabiło, a zresztą rozpędzonych koni nie byłoby mogło zatrzymać. Drzwi bez klamki też nie można było ani na zewnątrz otworzyć.

Położenie zamkniętych stawało się krytycznem.

Teraz wjechała dorożka na drogę twardą — koła zgrzytnęły na żelazie, i — konie stanęły.

Antoni widział, jak Ramiro, zeskoczywszy z kozła, przeciął lejce, widział, jak konie zeskoczyły z toru kolejowego, jak Ramiro uciekał, i jak zakrywszy twarz rękami, głośnym wybuchnął płaczem.

— Przekonałeś się sam teraz, rzekła Felicya, że nie ma dla nas ratunku! Powiedz mi, jaka śmierć nas czeka?

— Kolej nas zmiażdży! odrzekł Antoni z rozpaczą. Przygotujmy się na ostatnią naszą chwilę, panno hrabianko! Pedro de Branco wykonał znakomicie swoje dzieło. Powóz nasz stoi na szynach, konie uciekły, a tam z boku nadchodzi pociąg z Paryża! Za kilka minut nie zostanie z nas śladu!

Straszna cisza zapanowała po tych słowach w dorożce.

Ale Bóg zlitował się nad nieszczęśliwymi i zesłał im wybawiciela w osobie — ułomnej Rozalii!

Młoda dziewczyna, widząc, jakie niebezpieczeństwo grozi zamkniętym w powozie, postanowiła uczynić wszystko, co mogła, aby ich ratować, ale jakim sposobem zapobiedz złemu?

A że o zepchnięciu powozu z szyn mowy być nie mogło, że wszelka pomoc ludzka była tu niemożliwą, przeto nie pozostawało jej nic innego, jak wykonać teraz swój zamiar okropny, rzucić się pod koła pociągu i zmusić go tym sposobem do zatrzymania się! Szybka, jak myśl, pobiegła do powozu i zawołała:

— Nie lękajcie się niczego, będziecie ocaleni! Ja umrę za was — módlcie się za moją duszę!

I jak bohaterka prawdziwa uklękła na szynach, złożyła ręce i z zamkniętemi oczami oczekiwała śmierci.

Pociąg pędził z nadzwyczajną szybkością.

— Co u licha, tam leży coś na szynach, — krzyknął nagle urzędnik, prowadzący lokomotywę. — To człowiek kobieta — cofać maszynę!

Ale na to było już zapóźno. Zanim rozkaz jego został wykonany, posunął się pociąg jeszcze o jakie dwadzieścia metrów naprzód, i koła przeszły po trupie nieszczęśliwej dziewczyny!

Rozalia osiągła cel: znalazła upragnioną śmierć i ocaliła życie trojgu ludziom.

Zaledwie pociąg stanął, rzucili się urzędnicy z latarniami na szukanie ciała nieszczęśliwej dziewczyny.

I znaleźli je wkrótce!

Głowa pozostała nietkniętą, ciało jednak strasznie było pokaleczone, tak, że z trudnością zdołano zebrać wszystkie członki.

Jeden z urzędników tymczasem zbliżył się do zamkniętego powozu.

— Zmiłuj się pan, otwórz nam, — zawołał Tyrolczyk.

Otworzenie drzwi jednak nie było tak łatwem, jak się zdawało, i trzeba je było formalnie wyłamać. Na szczęście miał palacz potrzebne do tego narzędzia.

Podróżni i urzędnicy kolejowi otoczyli teraz uwolnionych, pytając, co ot wszystko znaczy!

— Ta pani, — odrzekł Antoni, jest hrabiną Barin, i własny jej mąż chciał ją w ten sposób zgładzić ze świata. Jest to zbrodniarz i trzeba go jak najprędzej uwięzić.

(Ciąg dalszy nastąpi.)